

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecej*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 26 LUTEGO 1927 ROKU

NR 9

TREŚĆ NUMERU: Zanim wycofacie Polskę z międzynarodowej federacji kobiecej — *K. Muszałówna*. Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Zapusty u ludu polskiego — *Janina Krajewska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceyingerówna*. Święta prowincja — *M. Crnjanski* — w tłumaczeniu *M. Znatowicz Szczepańskiej*. Zuzanna ze Strzemboszków Ożarowska (dok.) — *Zofia Łosiowa*. O twórczej wartości przemijania — *N. Samotyhowa*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B. Z teatrów* — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Jak wynaleziono radio? — *Br. L. Życki*. Liworyzacja — *Stefanja Niemyska*. Jak wychowywać kanarki — *J. S. Masło* „śmietankowe“ i inne tłuszcze — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kącik gospodarski. Dodatek „Mody i roboty“: Pantofelki te i inne — *Well*. Modne ażury. Haft i robota szydełkowa. Dodatek powieściowy: „Przestępstwo“ — *Jan Żyznowski*. Arkusz wzorów.

## ZANIM WYCOFACIE POLSKĘ Z MIĘDZYNARODOWEJ FEDERACJI KOBIECEJ

Powzięty niedawno przez Polski Związek Lekko Atletyczny wniosek, o manifestacyjnym wystąpieniu Polski z Międzynarodowej Federacji Sportowej Kobiet, wywołał wiele komentarzy i jeszcze więcej zaniepokojenia wśród zainteresowanych w sprawie tej sfer sportowych.

Istotnie, przyjęcie wniosku tego na Walnem zebraniu P. Z. L. A. (połowa lutego b. r.), przyniosłoby naszemu sportowi kobiecemu niepowetowane straty, izolując go od wszelkiego kontaktu czynnego ze światem zewnętrznym. Przecistawiając się dla względów zasadniczych koncepcji P. Z. L. A., mając ponadto pewność, że opinię moją podziela poważny odłam sportu kobiecego, pozwalam sobie w tej doniosłej sprawie zabrać głos i, reasumując wszystko to, co bądź miało miejsce istotnie, bądź znalazło wyraz na łamach prasy, spróbuję przedstawić sprawę raz jeszcze w oświetleniu najszerszym, doszukać się winowajców rzeczywistych, zrewidować pogląd w antypolskim bloku francusko-szwedzko-niemieckim, a wreszcie wysnuć wniosek, wskazujący, jak należy ustosunkować się do Międzynarodowej Federacji Kobiecej. Na wstępie zastrzegam się, że głównie opierać się będę na tem, co podała prasa polska w formie bądź oficjalnej, bądź nieoficjalnej. Ponadto korzystam ze sprawozdania z Igrzysk, napisanego przez p. Milliat. Niestety, pomimo starań, nie posiadam oficjalnego sprawozdania z kongresu paryskiego, opierać się więc będę w tym wypadku na sprawozdaniu pracom delegata polskiego.

Delegaci polscy, po powrocie z Goeteborgu w sprawozdaniach swych triumfalnie głosili o odniesionych sukcesach kongresowych, oraz o nowoustanowionym przez p. Konopacką rekordzie światowym w dysku. Mniej więcej półtora miesiąca panowała radość powszechna, niezamącona najłżejszymi wątpliwościami ze strony naszych delegatów w Goeteborgu. Dopiero zasygnalizowany przezemnie artykuł p. Milliat o prawdopodobnym nieuznaniu rekordu Konopackiej z powodu nieprzepisowego dysku — wywołał burzę.

Posypały się wyjaśnienia, nierzadko ze sobą sprzeczne. Spróbujmy je obiektywnie podsumować:

1) Kolegium sędziowskie było wyłącznie szwedzkie. Delegat niemiecki (p. Bergmann) sam zmierzył dysk i, znalazłszy niedokładność, złożył protest. (Przegląd Sportowy Nr. 43 ub. r.).

2) Komisja sędziowska składała się ze szwedów, oraz po jednym delegacie każdej narodowości, biorącej udział w Igrzyskach — (więc jakże, wbrew temu, co pisali inni, przedstawiciel Polski był chyba w gronie sędziów?) — Niemcy, niebiorący udziału w zawodach, nie mieli swego delegata wśród sędziów, i p. Bergmann mierzył dysk, jako osoba prywatna. Nic nie stoi na przeszkodzie zatwierdzeniu rekordu Konopackiej. O triumwiracie francusko-niemiecko-szwedzkim mowy być nie może. (Stadion Nr. 45, p. J. S. B., członek P. Z. L. A.).

3) Nic nie stwierdza, by zastrzeżenie przeciwko nieprawidłowym wymiarom dysku było dokonane przez komisję sędziowską, lub zarząd F. S. F. I. Uzna-

nie rekordu Konopackiej w grudniu będzie tylko formalnością. (Stadjon Nr. 46, koniec listopada, p. J. S. B., członek P. Z. L. A.).

4) P. Z. L. A. otrzymał od Szwedzkiego Związku oficjalną listę wyników goeteborskich, wśród których widnieje wynik Konopackiej, jako nowy rekord światowy i szwedzki. Dowodzi to, że Komisja Sędziowska nie stwierdziła nieformalności. (Stadjon Nr. 45, p. J. S. B.).

5) Komisja Sędziowska odmówiła podpisania protokołu rekordu p. Konopackiej, ze względu na niewłaściwe wymiary dysku. Zarząd P. Z. L. A. otrzymał komunikat o wyniku Konopackiej, jako rekordzie światowym, nie od Związku Szwedzkiego, lecz od Komitetu Organizacyjnego. (Stadjon Nr. 2, p. Sterbo).

6) Sprawa uznania niekwestjonowanego (!) rekordu p. Konopackiej, nie weszła wcale pod obrady (!). (Stadjon Nr. 1 b. r., p. J. Szyszko-Bohusz, członek P. Z. L. A., w artykule, omawiającym Kongres grudniowy).

7) Sprawa rekordu Konopackiej była postawiona pod obrady przed omawianiem rekordu p. Reuter. Rekordu Konopackiej nie zatwierdzono, gdyż komisja sędziów w Goeteborgu skonstatowała przed zawodami brak dysku przepisowego, i wobec tego Związek Szwedzki nie przesłał protokołu z rzutu p. Konopackiej. Wobec tego sprawa rekordu Konopackiej stała się beznadziejną. (Stadjon Nr. 2, b. r., p. Sterba, delegat na kongres grudniowy).

Umyslnie cytuję powyższe, tak na każdym kroku sprzeczne, dane czynników oficjalnych i półoficjalnych, aby przedstawić, w jakim chaosie widziano sprawę p. Konopackiej, aż do Kongresu grudniowego. Na podstawie powyższych danych spróbuję poniżej dać istotny obraz wypadków, opierając się przede wszystkim na danych, złożonych przez p. Sterbę:

1) Komisja Sędziowska w Goeteborgu jeszcze przed zawodami wiedziała o nieprzepisowych wymiarach dysku.

Fakt ten obala legendę o proteście p. Bergmanna, jako jedynej przyczynie zakwestjonowania rekordu p. Konopackiej, legendę, którą lansowano na łamach naszej prasy. Fakt ten zdejmuje zarazem odpowiedzialność z p. Milliat, z której, dla celów zapewne rehabilitacyjnych, zrobiono osobistego wroga Polski, a obciąża całkowitą winą Lekko Atletyczny Związek Szwedzki, który organizował zawody goeteborskie, i z łona którego wyszło gros sędziów do goeteborskiej Komisji Sędziowskiej. Podkreślam: wina ciąży na Lekko Atletycznym Związku Szwedzkim, na czele którego stoi wspinały formalista, p. Elstrom, ten bowiem Związek dyryguje w Szwecji lekko-atletyką kobietą, ze względu, że nie istnieje tam państwowa federacja kobieca. Wszelkie więc ataki przeciwko Międzynarodowej Federacji Kobiecej źle zostały skierowane: protesty należało kierować pod adresem Związku

Szwedzkiego, jedynie odpowiedzialnego za organizację zawodów. Moje rozumowanie jest chyba słuszne: za organizację igrzysk olimpijskich w Amsterdamie, za niewłaściwe przyrządy, odpowiadać będzie przede wszystkim Olimpijski Komitet Holenderski.

Rozumiem wprawdzie, że wygodniej jest P. Z. L. A. atakować F. S. F. I., aniżeli Szwedzki Związek Lekko Atletyczny, już choćby dlatego, że możnaby popsuć sobie stosunki ze szwedami w dziedzinie męskiej lekko-atletyki. No, ale to jest żaden argument tam, gdzie chodzi o konieczność walki.

2) Na 7 zawodniczek pojechało do Goeteborga 2 delegatów P. Z. L. A., trener i wyłącznie sprawie tej oddany dziennikarz. Jest rzeczą doprawdy dziwną i niezrozumiałą, że żadna z tych osób nie zainteresowała się przyrządami, że nikt nie był w dostatecznej ścisłym kontakcie z gronem sędziów, aby we właściwym czasie dowiedzieć się o czynionych poszukiwaniach dysku przepisowego i zdecydowaniu rzucania dyskiem nieprzepisowym. Dziwnem jest, że—wiedząc chyba—skoro się pisało, o manipulacjach p. Bergmanna z dyskiem i jego, jakoby, proteście, nikt na miejscu nie protestował, a co ważniejsze, nikt słowem nie wspomniał o możliwości niezatwierdzenia rekordu Konopackiej dopóty, dopóki prasa do tego nie zmusiła P. Z. L. A.

Zresztą, możliwym jest, że nikt z opiekunów reprezentacji polek nie domyślił się zapytać, lub sprawdzić prawidłowości przyrządów. Rok ubiegły nasuwa mi podobny wypadek: na mistrzostwach Polski lekkoatletek nie było przepisowych płotków, aczkolwiek kierownik zawodów mistrzostw, p. Weyrauch, na kilka dni przed zawodami mówił w P. Z. L. A., że płotki w Agrikoli są nieodpowiednie i że należy dostarczyć właściwych. Tych właściwych płotków na mistrzostwach lekko-atletycznych pań nie było, p. Weyrauch wobec tego do konkurencji w płotkach nie dopuścił, za co od poszczególnych członków P. Z. L. A. usłyszał wiele zarzutów na temat swojej częściej formalistyki. Z powodu tej „częściej formalistyki“ obalono rekord Konopackiej, przeciwko czemu słusznie wprawdzie wytoczono pociski protestów, lecz zbyt późno, niestety, i zapominając zupełnie o własnych błędach na lokalnym terenie. Bezwątpienia, pilne przestrzeżenie przepisów formalnych u siebie, wyostrza uwagę w tej dziedzinie i na terenach obcych: nie pozwala na dowiadywanie się o złych wymiarach przyrządu w parę miesięcy po fakcie, którego było się naocznym świadkiem. — Mówię to z całym poczuciem odpowiedzialności za to, co piszę: fakt, że o nieuznaniu przez sędziów rekordu Konopackiej oficjalny delegat polski i oficjalna władza polska, pomimo korespondencji z zainteresowanym Związkiem Szwedzkim, dowiedziały się w cztery miesiące po fakcie (sierpień—grudzień) dyskredytuje P. Z. L. A. ogromnie. Zarazem dyskredytuje i Związek Szwedzki, który przez 4 miesiące nie zawiadomił o tem P. Z. L. A.; bo

przecież w przeciwnym razie delegat polski nie byłby tak pewien, że zatwierdzenie rekordu Konopackiej będzie tylko formalnością i nie obawiałby się wyłącznie rekordu niemki Reuterówny. Tymczasem rekord obaliła nie p. Reuter, a komisja sędziów goeteborskich. I oto pomimo najszczerzych chęci, nie mogę w całej tej sprawie dopatrzeć się kompromitacji p. Milliat, złej woli jej i wrogiego stosunku do Polski. Nie widzę tu również winy Międzynarodowej Federacji Kobiecej.

3) Jak wiadomo ze sprawozdań prasowych polskich delegatów, zarówno francuzki, jak angielski przywiozły ze sobą własne dyski. Że — niewymiarowe — to źle, ale nie o to mi idzie. Chodzi mi o to, że chyba czterech opiekunów reprezentacji i siedem reprezentantek — byłoby wstanie udźwignąć ciężar polskiego, przepisowego dysku, od Warszawy do Goeteborga. Reprezentacja polska, jedyna, która liczyć mogła na pobicie rekordu światowego w dysku, co więcej — znając wyniki europejskie kobiet — jedynie na sukces Polski w dysku liczyć mogąca, powinna była o ten dysk właśnie się zatroszczyć.

Okazało się, niestety, że ciężar dysku przewyższał siły polskiej reprezentacji. Pojechano bez tego okrągłego kawałka drzewa, choć delegatki innych krajów pilnie wiozły go z sobą nawet samolotem.

4) P. Z. L. A., znający przepisy międzynarodowe, co do procedury zatwierdzania rekordów, (takby się zdawało), powinien wiedzieć, że jedynie ważny jest protokół, sporządzony przez sędziów, a nie przez Komitet Organizacyjny zawodów. Uznając protokół Komisji Organizacyjnej za wystarczający dowód, P. Z. L. A. wprowadził w błąd opinię publiczną w Polsce i zdyskredytował się na Kongresie grudniowym niezajomością regulaminu.

Streszczając się, wysnuwam wniosek ostateczny: Kongres grudniowy federacji kobiecej nie mógł zatwierdzić rekordu Konopackiej, gdyż sędziowie goeteborscy do zatwierdzenia go nie przedstawili z powodu wadliwości dysku. Z punktu widzenia formalnego i istotnego — Kongres federacji, a więc i sama federacja jest w porządku. Nie w porządku jest organizator zawodów — Związek Lekko Atletyczny Szwedzki. Ale tu — o dziwo — P. Z. L. A. nie rości zbyt wielu pretensyj, nie występuje z protestem, natomiast obrzuca obelgami Federację Międzynarodową.

Jeśli więc chodzi o rekord Konopackiej — nie istnieją, zdaniem moim, żadne przyczyny, zniewalające do wystąpienia z Federacji Międzynarodowej. Są natomiast przyczyny, aby przyszłych delegatów P. Z. L. A. prosić o zwrócenie większej uwagi na formalno-techniczną stronę zawodów.

Inaczej nieco rzecz się ma z zatwierdzeniem przez Kongres grudniowy wyników p. Reuter w dysku i p. Wittmann w setce. W tym wypadku bezsprzecznie mamy do czynienia z nadużyciem zaufania Federacji kobiecej przez Niemców. Delegat Polski nie

zdołał obronić słusznego swego w tej sprawie stanowiska. Razem z nim przegrała Anglja, w identycznych warunkach, tracąc rekord swój na rzecz Niemek.

Jednak — Niemcy przedstawili protokół obu swych rekordów światowych — pod względem formalnym najzupełniej ważny. Wprawdzie — dokumenty, posiadane przez p. Sterbę — niezbitnie dowodziły ich fałszu, jeśli — oczywiście — zostały odpowiednio przedstawione. Dla tych, czy innych względów życzeniu Niemców stało się zadość. Niestety, wyjaśnić tego nie mogę, nie posiadając dotychczas danych oficjalnych z Federacji Międzynarodowej.

Każdy z nas odczuwa tę krzywdę moralną, jaką wyrządził nam fakt zatwierdzenia rekordu Reuterówny. Ale identyczną krzywdę wyrządził Angielkom rekord światowy Wittmann w setce, detronizujący ich rodaczkę p. Lines. Tylko, że w Anglii nikt nie myśli o złożenie wobec faktu powyższego bronii, nikt nie zamierza wystąpić z Federacji Międzynarodowej, nikt nie wyrzeka się myśli o walce dalszej.

Wniosek P. Z. L. A., zmierzający do wystąpienia z Federacji Międzynarodowej, będzie miał, wraz z jego przyjęciem, fatalne skutki dla naszego sportu kobiecego. Zamknie naszym atletkom drogę do wszelkich walk międzynarodowych, pozbawi je możności porównywania swych sił i dociągania się do coraz wyższego poziomu, odbierze im mocny czynnik ambicji narodowej wobec przeciwniczek obcych krajów. Odbierze im możliwość czerpania bezpośredniej nauki z zagranicznych wzorów.

Boć przecież zrozumiałem jest, że żadne z państw, zrzeszonych w F. S. F. I. nie wystąpi z nami do walki jeśli panowie z P. Z. L. A. uchwalą odwrót z Federacji. Wiem, że sprawy rekordu p. Reuter nie można pozostawić w aktach. Uważam więc za wskazaną apelację do Międzynarodowego Związku L. Atletycznego, z którym F. S. F. I. jest w kontakcie.

Może tutaj znajdują się ci sprawiedliwi, którzy zdecydują się na przeprowadzenie rewizji rekordów pań: Reuter i Wittmann.

Ale jedynie fałszywym krokiem byłoby wystąpienie z F. S. F. I. Sport kobiecy jest na doskonałej drodze rozwojowej. W interesie Polski leży propaganda tężyzny fizycznej jej obywaterek, niechże więc ujawnia się ona na tabelach rekordów światowych. Czemu więc zabronić chciecie Konopackiej wpisania swego nazwiska z wynikiem 39-40 mt. w dysku, które rzuci napewno.

Wszystko, bowiem, przemawia za tem. Czemu zamknąć chciecie tabelę i dla innych lekko-atletek polskich, które do wyników światowych podchodzą coraz bliżej?

Porażki dyplomatycznej przy zielonym stoliku nie wolno chyba rehabilitować kosztem dobra całego kobiecego sportu polskiego. Nie wolno tembardziej, że w całej tej sprawie ów sportowy świat kobiecy polski pozbawiony był i jest głosu.

*K. Muszałówna.*

C. W A L E W S K A

8

## ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

STUDENTKI NASZE — NAJSTARSZE I NAJMŁODSZE.

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet“

O jakichś grupach studentek lwowskich mówi Stanisław Wasylewski, że były „uśmiechem uniwersytetu“\*) i patrzył na nie radośnie nawet stary Fredro z bronzu, czy marmuru, kiedy pomykały przed nim. A dzisiejsze? Ach, te — według Wasylewskiego — już nie chodzą na uniwersytet, ale pędzą, lecą, gonią w jakimś szale opętanczym, — całe stada i tabuny podlotków. Pętają się po wszystkich kątach starego i nowego gmachu, zabiedzone, nierozwinięte, dziecinne, ponure. Szary, bezbarwny proletarjat. Już nie „uśmiech“, ale „utrapienie“ uniwersytetu.

Nie wiem, która serja była dla Wasylewskiego „uśmiechem“.

Pierwsze hospitantki pojawiły się w Krakowie w 1894 r., we Lwowie—1896 r. Pierwszą kobiecą polską doktorat otrzymała Zofja Moraczewska w 1904 r. Przyszły po niej inne. Na uniwersytecie lwowskim doktoryzowała się taka wybitna siła naukowa, jak dr. Zofja Gąsiorowska Szmytowa. Przybywa z każdym rokiem w pięciu uniwersytetach Polski spora liczba doktoratów kobiecych i niejedną zapewne przypada w udziale „podlotkom“ z „tabuna“, pętającym się po wszystkich aulach i korytarzach uniwersyteckich. Pełno wszak mamy dziś doktoryzowanych lekarek, prawniczek, filozofek, dyplomowanych inżynierów, agronomek i absolwentek Wyższej Szkoły Handlowej. Nie zatamują ruchu żadne „Impertynencje“ i nawet Fredro z bronzu, kochany staruszek, który lubił studentki, ale ot tak sobie—po kilka, kilkanaście, nie gromadnie, nie jako wyraz epoki, nie jako zasadę i dokument równouprawnienia w nauce.

Mizerne, zbiedzone, co drugi, trzeci dzień bez obiadu, sine z zimna w swoich wiatrem podszytych płaszczkach były nietylko dzisiejsze studentki, te „ze stada, z tabuna podlotków“. Marja Curie za cały posiłek miała nieraz tylko trochę owoców, filiżankę czekolady i parę jajek, które sama sobie przyrządzała w swojej podniebnej paryskiej mansardzie.

Dr. Józefa Joteyko, dr. Michalina Stefanowska w Brukseli, dr. Zofja Daszyńska-Golińska w Zürichu i Berlinie, dr. Józefa Kodisowa w Genewie i tyle, tyle innych, dziś już bardzo znanych, bardzo zasłużonych pierwszych studentek naszych, dopomagających sobie różnemi pracami, żeby wyżyć. Przed martyrologią ich — w imię wiedzy — uchyliliby śpiżowe czoło żartobliwy Fredro, a „Impertynencje“ dużo miałyby kłopotu, z której strony wziąć się do nich. Bo ani de-

koltu, ani krepdeszynu, ani spódniczek po kolana, ani główek à la garçonne, ani tabunowego biegu od startu do mety, ani pętania się po wszystkich kątach sędziwych gmachów. Ani wreszcie tupnięcia nóżką, żeby zdobyć katedry, które same otworzyły się przed niemi wówczas, kiedy jeszcze na sto spustów zamknięte były dla kobiet wrota wiedzy czystej.

Nie wiedział nikt o pannie Skłodowskiej z Warszawy, która, uciulawszy trochę grosza po kilkoletniej belferce na wsi w domach prywatnych, wyruszyła w świat za gwiazdą [przeznaczeń swoich. Cicha, małomówna, polska dziewczyna] wyrwała łonu ziemi boskie tajemnice, a białe lkary—genjusze, tańcząc, kołując, wprowadziły ją na szczyt Monsalwatu.

I nikt nie wiedział o pannie Joteyko, która — mierząc siły na zamiary, nie wiedząc dziś, czy będzie miała zaco przeżyć jutro, — pojechała na obcy uniwersytet, bo nie dopuszczano kobiet za próg krajowych. Dr. Joteyko jest dziś powagą w świecie nauki. Ma za sobą przeszło 200 prac z dziedziny fizjologii, neurologji, psychologii doświadczalnej, pedagogji. Ogrom pracy naukowej nie odrywał jej od zadań konkretnych—organizowania w Belgji katedr wakacyjnych, które ściągaly siły naukowe i słuchaczy ze wszystkich stron świata, zwłaszcza z Polski. Wykładała sama na uniwersytecie brukselskim i prowadziła laboratorium psychologiczne. Była pierwszą kobietą, zaproszoną na katedrę Collège de France, stojącą wyżej od uniwersytetów francuskich. (Miewał tam niegdyś wykłady Mickiewicz). Żywiołowa energja, zapał i ofiarność Józefy Joteyko dla pracy naukowej nie mają sobie równych. Po powrocie do kraju, rozwija wyteżoną działalność pedagogiczną. Prowadzi wykłady, przesyła referaty na kongresy międzynarodowe, redaguje „Polskie archiwum psychologii“, kwartalnik, poświęcony zagadnieniom psychologii teoretycznej i stosowanej, gdzie zabiera głos w najważniejszych sprawach, jak „Jedność szkolnictwa ze stanowiska psychologii i potrzeb społecznych“. Ani wiek, ani ciężka choroba, którą przeszła rok temu, nie zdołały osłabić tej nadludzkiej, prężnej siły, z jaką sięga po coraz nowe zdobycze, rozszerzając szczupły krąg naukowych naszych poczynań. Ze zdumieniem stajemy wobec rzeczy, już przez nią dokonanych i wobec zamierzeń, które nasuwa jej wyteżona czuj-

\*) „O siedmiu duszach kobiety“. Impertynencje współczesne

ność na potrzeby i braki naszej wiedzy rodzimej. Pełne były kwartalniki, miesięczniki i wydawnictwa naukowe z przed wojny — krajowe i zagraniczne — nazwisk i współpracownictwa naszych uczonych — tych najpierwszych studentek obcych uniwersytetów. Zabierały w nich głos: dr. Joteyko, Stefanowska, Kodisowa, L. Dobrzyńska-Rybicka, Marja Grzegorzewska, Marja Czaplicka i inne. Zpośród ekonomistek — najwybitniejsza nasza siła, dr. Z. Daszyńska-Golińska. Prawie nie spotykamy nazwisk uczonych polek — z pokolenia młodych i najmłodszych studentek. Dają znać o sobie niekiedy, jako popularyzatorki (najruchliwsza z pomiędzy nich p. Regina Fleszarowa — przyrodniczka). Pozatem — jakby wysilił się i zamarł naukowy ruch kobiecy w tym zbiorniku intelektu niewieściego, jakim były nasze studentki. „Podlotki“, pętające się po wszystkich kątach polskich uniwersytetów, wydają z pomiędzy siebie bardzo poważne siły, ale, jak dotąd, w kierunku praktycznym — doskonałych lekarzy, wybitne profesorki, dobre prawniczki, przyrodniczki, inżynierów, agronomów, architektów i t. p. Powojenna zawierucha i ciężkie nad wyraz warunki życia, prawie uniemożliwiają ścisłą pracę naukową. Czekajmy i baczmy, co wykluje z siebie intelekt kobiecy, gdy głód pracy w kierunku wiedzy ścisłej nie będzie potrzebował ustępować miejsca wymianie jej na drobną monetę dorywczych zarobków — aby przeżyć, aby przeżyć!

\* \* \*

Jakie są i jak pracują studentki dni ostatnich? Idąc kiedyś szeroką, pustą ulicą Warszawy, spotkałam bardzo młodszą i bardzo rasową panią w czapce studenckiej. Prowadziła za rączkę pięcioletniego może chłopczyka — zapewne braciszka, i szła obok starszego, również bardzo rasowego pana, pewnie ojca, gdyż byli podobni do siebie. Trójka bardzo była zajęta sobą, ale — jak wypadało na ludzi dobrze wychowanych — spokojnie, z taktem, dystynkcją, żeby nie zwracać uwagi przechodniów. — Jednak przywarły do nich moje oczy i odbiły się w soczewkach trzy obce postacie. Zwłaszcza ładniutka, mała studentka z twarzyczką, jak kamea.

Musiała być bardzo pieszczona i mieć nurkę, która ją wypielegnowała. Musiała być ogromnie kochana i kochająca, bo nie uśmiechałaby się i nie łąsiła przytulnie, jak białe kociątko, do braciszka i do ojca.

Więc taka w „tabunie“? Wyobraziłam ją sobie z elegancką teczką i skryptami. Wstępuje pełna powagi na próg auli. Dziecinne usteczka ściągają się wyrazem skupienia, białe greckie czółko przecina zmarszczka refleksji. Wielkie draby — koledzy ustępują miejsca. Ukłony pełne szacunku. Powitania w trzeciej osobie — nie na „wy“, bo jakżeż, taka margrabiną? — Ale bardzo przyjazne, zyczli-

we, jak starszych braci. Słucha, notuje, nie opuszcza wykładów. Zdobywa półdyplom i dyplom, jak zdobyła maturę. Może później — doktorat. Ma czas. Nie zarobkuje. Uczy się z dobrej woli. Powiedziała sobie, że nie wyjdzie za mąż, dopóki nie skończy swojej filozofii, czy przyrody, czy matematyki. Ale najprędzej filozofii. Wytrwa — na dwadzieścia, trzydzieści panien zamożnych może ona jedna — taka dziecinnie do nauki zapalona, taka swoim serduszkim wiernie kochająca to, co sobie upodobała.

Czy wykona jaką pracę naukową dyktoryzowana główka panią z dworu, z pałacu, czy z pięknego mieszkania w śródmieściu? — Najpewniej nie. Przyjdą inne kochania — męża, dzieci, domu własnego. Ale duma z wiedzy nabytej i szeroki krąg poznania, i nawyk ścisłego myślenia zostanie. Będzie śledziła ruch naukowy. Będzie kupowała poważne książki. Będzie mówiła z dziećmi o zjawiskach świata inaczej, aniżeli z nią mówiła czyściutka nursa.

Więc chodź na uniwersytet, wypieszczona panią. Pij z czary wiedzy. Żyj boskim nektarem przez całe, całe swoje życie, pewnie ładne i dobre. Rozpylaj sliczne swoje zamiłowania, jak płomyki rannej zorzy. Uśmiechnie się do ciebie stary Fredro w Lwowie. Kiwną głowami przyjaźnie Staszice, Kollataje, Śniadeccy z gipsu, marmuru i bronzu w holach i aulach różnych wszechnic.

\* \* \*

A inne z „tabuna“?

Są znudzone półchłopczyce. Wieczorem kino i dancng. A przez cały długi dzień?

Wyczytała wszystkie romanse. Połknęła wszystkie sensacje krajowe i zagraniczne. Przesyciła się nudą rautów i fajwów. Ziewa na haftowanych, malowanych i batikowanych poduszkach, aż wychodzą szczęki z zawiasów, aż kapią lzy na hafty i batiki. — Wtem — genialna myśl, uniwersytet! — Przepchnęła się przez maturę. Wolna droga.

W popielicach gris perle i toczku na uszy wchodzi arcyksiężna (surogat) na wykład. Robi miejsce kolega brunet i kolega blondyn. Odrazu danserzy do charlestonu. Egzaminy? — Przystępuje do nich. Nawet zda czasami. Ot, tak — z przypadku.

\* \* \*

Znam was dobrze zbliska, wy, najliczniejsze z „tabuna.“ Wy, główne bohaterki „Impertynencji.“

Ojciec, drobny urzędnik — nieraz gdzieś na dalekiej prowincji. Dwoje, troje i więcej rodzeństwa. Matka zaorana. Ty naparłaś się uniwersytetu. Z ambicji, z żaru wiedzy, dla lepszej przyszłości. Głodujecie, „tabunowe“ dziewczęta. Mieszkacie na strychach we dwie, we trzy. Pogoń za lekcjami. Nieraz u żyda sklepikarza, który



chce nauczyć swoje dzieci po polsku. Dwie godziny dziennie za całkowity posiłek. Śledź z kawą i chleb z gęsim szmalcem rano. Jakies bardzo mdłe mięso na obiad. Znowu śledź wieczorem. Jesz to, studentko. Krztusisz się, ale jesz. Musisz patrzeć na brudne palce, które ci podają śledzia z kawą. Trudno. Aby nie stracić lekcji! — Aby wytrwać!

Znam was, twarde, „tabunowe“ panny. Bratniak dał którejś z was lekcję w domu książęcym, u zagnanych burzą kresowców. Mieszkają w willi za miastem. Ocalili, co mogli. Zostały nawyki książęce. Krysia, czy Lusienka nie zasiądzie bez czekoladki do lekcji. Ale ty, głodna belferko, czekaj na swoją pensję. Dostaniesz ją, ale po miesiącach, gdy książę-papo zaczepi się o jakąś instytucję, w której godnie będzie mógł zasiąść na fotelu prezesa.

Ma rację stary Fredro. Nie luźni patrzeć na wasz głód, waszą nędzę. Ale jakżeż mile pozdrowi te z was, które przebrną Termopile i migną dyplomem!

Jeszcze głód przed wami. Jeszcze włóczęga od biura do biura. Jeszcze sto podań. Aż wkońcu — wymarzona, wysniona posada nauczycielki szkół śred-

nich, referentki, aplikantki, lekarza Kasy chorych, szkół miejskich, instytucyj samorządowych, farmaceutki, Boże, nareszcie, nareszcie!

\* \* \*

Znam was, niezmożone siłaczki. Mąż, dom, dziecko, czasami dwoje, troje. Praca zarobkowa i — uniwersytet, Wolna wszechnica, Instytut nauk społecznych.

Bo wyszło rozporządzenie, że bez dyplomu szkół wyższych nie można wykładać w gimnazjach, nie można być urzędnikiem VII kategorii, a wy jesteście na posadach państwowych. Kradniecie więc godziny snu i wypoczynku, żeby się uczyć. Ale w końcu Rubikon za wami, zwycięska wola nad wami.

Mogłabym przytoczyć nazwiska kobiet, które — mając podrastające dzieci i zarabkując, odbyły „tabunowy“ bieg do mety pełnego, bien mérité dyplomu.

Zrzucasz z siebie bluszcze, mimozy, powoje prababek, współczesna kobieto, i stajesz w jednym szeregu z tymi, dokoła których omotywały się wątle pnącze, przed którymi chyliły główki nadwrażliwe złote kwiaty wschodu i zachodu.



JANINA KRAJEWSKA

## ZAPUSTY U LUDU POLSKIEGO

Do najciekawszych obrzędów wiosennych u ludu polskiego należą tradycyjne zabawy zapustne.

Po wsi chodzą chłopcy, przebrani za niedźwiedzia, turonia, kozę; towarzyszą im różne maskary, Bawią ludzi i sami się bawią.

Zabawa zaczyna się już w Tłusty Czwartek, a trwa przez Ostatnią Niedzielę, Poniedziałek i Wtorek przed Popielcem.

Te ostatnie trzy dni dzięki swej wesołości i swawoli noszą nazwę Szalonych. Zwą je również Kusakami, Kusemi Dniami, Bachusami Czynnymi.

Skąd się te ostatnie nazwy wzięły — niewiadomo. Tłumaczy je lud tradycją chrześcijańską, bo w Kuse Dni miał djabeł Chrystusa kusić.

Bachusy Czynne są nazwą mniej zrozumiałą na terenie ludowym. Możliwe, że nazwa ta przejęta została od szlachty w czasach, gdy klasyczne wpływy rozwinęły się w Polsce, a zabawy, teatry, sztuka i architektura czerpały gotowe wzory z południa.

Ostatnie dni zapustne są pożegnaniem karnawału, a powitaniem postu, i jak każdy okres przejściowy,

w wierzeniach ludu posiadają swe obrzędy. Zabawy rozpoczynają się w Tłusty Czwartek. W Krakowie nazywają je Combrami, w Poznańskim — Cumbrami.

Obchody Combra zasadniczo różnią się od siebie w tych dwóch dzielnicach Polski, a więc:

W Krakowie z przedmieścia Piasek wloką bałwana, tak zwanego Combra, aż na rynek w Sukienicach, gdzie go potem ulicznicy rozrywają w kawałki.

Powstanie tej zabawy objaśniają sobie przekupki krakowskie w następujący sposób: „Dawno temu żył wójt Comber, który gnębił daninami ogrodniczki i przekupki. Gdy rozeszła się wieść o jego śmierci, przekupki zaczęły cieszyć się i tańczyć, wykrzykując: zdechł Comber, zdechł. I odtąd co rok w rocznicę śmierci Combra bawiono się i weselono, a dzień ten stał się świętem dla ogrodniczek i przekupek krakowskich, wolnych od ucisku tyrana“.

I rzeczywiście jest tak, jak wątek opowieści wskazuje. Tłusty Czwartek w Krakowie jest przede wszystkim świętem ogrodniczek i przekupek, które w ten uroczysty dla nich dzień zamykają sklepy, odwiedzają się wzajemnie, bawią się i weselą.

Opowieść o powstaniu Combra jest mało prawdopodobna, ale barwnie i zajmująco przedstawia genezę tej zabawy w Krakowie

Comber pochodzi od niemieckiego *zampfern*. Zabawę tę do miast naszych przynieśli osadnicy niemieccy w wiekach średnich.

W Poznańskim Cumbrem, albo Cumprem nazywają zabawę, wyprawianą przez dziewczęta parobkom za to, że przychodzili wieczorem do kądzieli.

Dawniej w tych okolicach Polski w Tłusty Czwartek chłopcy chodzili gromadami po wsi w różnem, na który gospodynie zatykały kielbasę, słoninę, — za dary otrzymane wyprawiano potem wieczерzę z tańcami.

Najhuczniej, najweselej bawiono się jednak w ostatnie trzy dni zapustne. Wtedy to parobczaki po wsiach chodzą z orszakami zapustnymi. Do orszaku ubierano Bachusa, sadzano go na becze i ciągnięto na saniach. Zamiast fajki dawano mu do ręki garnczek kwartowy, osadzony na kiju.

W Lubelskim Bachusa, lub Zapusta przedstawia parobczak, który kładzie na siebie kozuch futrem do góry zwrócony, opasuje się powrośłem, głowę nakrywa czapką tekturową, w rękę trzyma drewniany toporek z dzwonkiem — towarzyszy mu mniej świetnie ubrany dziad z koszykiem w rękę. Obchodzą domy i zbierają datki.

Na Mazowszu urządzają orszak karnawałowy z Sierotkami. Na kołku, wbitym w płozy sani, osadzają koło z czterema kołkami, na nich stawiają dwie postacie chłopca i dziewczyny, zrobione ze słomy — są to Sierotki. Gdy koło puszcza się w ruch, figurki poruszają się dokoła — jak w tańcu.

Czasem w tym orszaku chodzą chłopcy, poprzebierani za zwierzęta, a więc za niedźwiedzia, kozę, konia, turonia i bociana.

W niektórych miejscowościach Polski odrębnie chodzą z niedźwiedziem, kozą i turoniem.

A więc prowadzą po wsi niedźwiedzia, uwiązane go na sznurku. Za niedźwiedzia przebiera się parobek, kładąc na siebie kozuch futrem do góry, lub też cały owija się w powrośła z grochowin. Niedźwiedź staje na dwóch łapach, ryczy, rzuca się w różne strony, wywołując swemi komicznymi ruchami wybuchy śmiechu.

Kozią maskarę wyrabia młodzież w różny sposób. Łeb kozi z drzewa owijają futrem, doprawiają rogi i dolną szczękę robią ruchomą. Kij trzyma ukryty pod płachtą parobek. Koza chodzi na trzech nogach, ma ogon czasem koński, a czasem kudłaty. Na prawym rogu ma dzwonek, a na czole czerwony kwiatek.

Inne zwierzęta sporządzają w podobny sposób. Używają w tym celu drzewa, słomy, szmat, derek i kozuchów.

W orszaku zapustnym bierze udział cała młodzież: parobczaki i dziewczęta, a nawet i gospodynie. Przebierają się za cyganów, cyganki, żydów, dziadów

i chłopów. Chodzą od chałupy do chałupy, dostają poczęstunek, podarki, lub datki pieniężne. Za otrzymane pieniądze i podarki wyprawiają wieczerzę w karczmie, tańczą, śpiewają, bawią się hucznie i wesoło.

Ostatni Wtorek jest ostatnim dniem zabawy. Lud w dniu tym żegna zapusty, a wita zbliżający się post.

Na zachodzie i na północy Polski jest zwyczaj, że w Ostatni Wtorek panny, które nie wyszły za mąż, muszą się wykupywać podczas zabawy zwanej podkoziółkiem.

Na środku w gospodzie stawiają na becze talerz, na nim wystruganego z drzewa koziółka. Czasem zamiast koziółka strużą z brukwi chłopca i przykrywają serwetą. Czasem z choiny, posiadającej dwie odnogi na dole, stroją dziarskiego chłopca. Do tej gałązki przyczepiają dwie cebule, ubierają w szafirową katankę i czerwoną czapkę z białym piórem.

Czasem podkoziółkiem nazywają datek pieniężny, składany na miskę, stojącą przy koziółku.

Rozpoczyna się taniec, przy którym dziewczęta, nie wyszłe za mąż w ostatnim karnawale, składają datek.

Pierwsza para, rozpoczynająca taniec, staje przed miską, a parobek, siedzący przy niej, śpiewa.

A trzeba dać podkoziółka,  
trzeba dać, trzeba dać,  
boś ty mogła całki roczek  
ubadać, ubadać.

Dziewczyna kładzie kilka groszy na miskę, a chłopcy zachęcają ją. Dziewczyna odpowiada:

Oj, trzeba dać podkoziółka,  
trzeba dać,  
Jeśli która ma się jeszcze  
z nas wydać.

W Kaliskiem w Wielki Wtorek parobcy obwożą drzewko na wózku i zbierają datki od dziewcząt, które nie wyszły za mąż. Drzewko to ubierają w kolorowe papierki, świecidła i kwiatki. Stają przed każdym domem, w którym jest dziewczyna na wydaniu, i tę licytują. Jeden mówi, że „funt kłaków warta“, drugi, że „furę gnoju“, trzeci „i snopka pustej słomy by nie dał“. Wreszcie dziewczyna musi się sama okupić słoniną, kielbasą, jajami lub pieniędzmi.

W wielu okolicach, mianowicie na Mazowszu i w Krakowskiem, w Ostatni Wtorek lud urządza kolację postną, zwaną podkurkiem. Składa się ona z jajek, śledzi i mleka.

Gdy zbliża się północ, jeden z biesiadników zaczyna śpiewać:

Chtóż się to tam na przypiecku krząta?  
Wstępna Środa Żurowi uprzęta.  
Wstępna Środa następuje.  
Pani-matka żur gotuje.  
A pan-ojciec siedzi w dziurze.  
A witaj-że, mości Żurze.

Tak lud wita zbliżający się post, w którym żur, jako potrawa, odgrywać będzie główną rolę.

Wszyscy bawią się jeszcze i dopiero, gdy dzwon kościelny uderzy o północy, rozchodzą się do domów, bo to już koniec zapust, koniec więc i zabawy.

W Popielec, zwany inaczej Wstępną Środą, gdzieś niedziele jeszcze tańczą, bawią się, czy to w karczmie, czy w domu, ale z nadejściem piątku wszystkie uroczystości zapustne muszą się kończyć, gdyż jest to dzień ze szczególną powagą obchodzony w kościele.

W Popielec o świcie wybijają żur, t.j. garnek z barszczem rozbijają o odrzwia chaty dziewczyny, nie wyszłej za mąż, a chłopcy przyczepiają ztyłu nie wydanym dziewczętom i parobczakom, którzy nie pożenili się; klocki, lub skorupy z jaj wydmuchanych, co ich pobudza do wielkiej wesołości i śmiechu.

Kobiety zachowują przyniesiony z kościoła poświęcany popiół, by rozsiać go na wiosnę między rozsądę kapusty, aby dobrze rosła.

Po nabożeństwie męzatkki wywożą na wózku dwukołowym młode żencowe. W wózek zatykają cztery drągi, na których rozścielają obrus, lub chustki kolorowe. Tak przystrojony pojazd ubierają grochowinami i sadzają doń młodą męzatkę, poczem ciągną go do karczmy. Inne z pośród męzatek niosą na długich żerdziach worki z popiołem, któremi potrząsają, idąc z pochodem przez wieś.

W karczmie młoda żencowa musi się wykupić, a raczej wkupić do grona męzatek-gospodyń.

Na Kujawach, w obawie, by ją nie wywróciły z taczki, wykupuje się pized wyjazdem z domu.

Skąpą męzatkę nazywają pogardliwie wilczycą.

W karczmie hulają do późna, tańczą, a raczej skaczą na konopie, lub len, t.j., aby konopie, lub len tak urosły wysoko, jak skaczą.

Po obiedzie nad drzwiami karczmy zawieszają sito z popiołem i przeciągają od niego sznurek.

Wchodzi ktoś do karczmy, wówczas pociągają za sznurek i z sita sypie się nań popiół.

Prócz tych zwyczajów w Popielec u ludu istnieje zwyczaj topienia śmierci, lub palenia, czy ścinania bałwana, także wywożenia grajka.

Prawdopodobnie postacie te wyobrażają zapusty, które lud na początku postu wyrzuca.

W Lubelskiem topią, lub palą śmierć, uwitą ze słomy i grochowin. Na Mazowszu wydawano na sąd mięsopust, którego wyobrażał bałwan w kajdanach. Bałwana tego następnie ścinano.

W innych okolicach Mazowsza dziewczki obwożą po wsi grajka, zaprzęgając się same do sanek. Obwiązują mu lekko ramiona i golenie słomą i podpalają tak, by miał czas ją jeszcze odrzucić. Czasem wieszają go, niby to, u powały.

W Kieleckiem parobka ubierają w grochowiny, wiodą go do stawu na powrozie i tam wrzucają przy-

branie z grochowin do wody. Grochowin używają także na Mazurach na przystrojenie bałwana, którego obwożą po wsi na wózku.

Za nim idą gromady poprzebieranych ludzi, za cyganów i żebraków. Z tego grona wyznaczani byli chłopcy, którzy nosili garnki, lub na długim kijku woreczki, wypełnione popiołem. Jeśli gospodarz odmawia podarunku, wytrząsają na niego popiół z woreczka i z wrzaskiem porywają garnek, pełen popiołu, uderzając nim o stół. Popiół z potłuczonego garnka pokrywał całą izbę tumanem kurzu. Jeśli podarek otrzymają, to zamiast podziękowania uderzają darującego lekko po głowie woreczkiem z popiołem.

Gdy całą wieś obejdą, topią, lub palą bałwana, zdjawszy z niego ubranie, a następnie skaczą przez ogień.

W puszczy Kurpiowskiej Zapusty przybywał wyganiać Zapust na koniu. Był to przebrany parobek. Koń jego, przykryty prześcieradłem, bywał zrobiony z dwóch drągów, związanych ze sobą w miejscu, gdzie miało być siodło. Do jednego końca drąga przywiązywano czerep koński, do drugiego kiść lnu, jako ogon.

Przybywszy do izby, posypywał głowy zebranych popiołem i wyganiał ich miotłą, a obróciwszy się do gospodyni, wywraçał naczynie z wódką, popiołem zasypując jej oczy, i gasił światło.

Tak się kończył mięsopust, który lud pod różnemi postaciami wyrzucał, topił, lub palił.

Te zabawy zapustne, które lud z taką przyjemnością urządza, pochodzeniem swem sięgają czasów prastarych, kiedy to obchodzono święto zbliżającej się wiosny, witając w ten sposób budzącą się do życia naturę.

Pod wpływem chrześcijaństwa obrzędy doroczne uległy zmianom, zatracając czasem swój podkład wierzeniowy. Dziś zostały tylko szczątki dawnych obrzędów.

Pierwotne obrzędy wiosenne związane zostały ze świętami chrześcijańskimi, przypadającemi na czas wiosny.

Topienie śmierci, bałwana, w grochowiny owiniętego, wywożenie grajka jest zapewne szczątkowym zwyczajem wypędzenia, topienia zimy, który pod wpływem zwyczajów późniejszych, przyniesionych przez chrześcijaństwo do Polski, przybrał postać wyrzucania mięsopustu.

Karom podlegają ci, którzy nie podporządkowali się prawom życia, a więc nie wydane panny i nie pożenieni parobcy.

Takie jest, jak domyślać się możemy ze szczątków zwyczajów, które do naszych czasów przetrwały, tło wierzeniowe wesołych zabaw zapustnych u ludu polskiego.





HELENA CEYSINGERÓWNA

9

## JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

Doprowadziło ją tak przez jakieś podwórca ogromne, ostrokoły grodzone, do drzwi wielkich drewnianych, rzezanych w pozłociste słońca. Cóż to za takie drzwi?.. Wierzeje te otwarły się same... Pojrzrzy Ksenia: cudnyż to kościół i bezmierny!.. Pod drewnianym stropem — las słupów drewnianych, u góry jakby w konary rozgałęzionych, a na stropie szafir połyskliwy, jak niebo, i usiany złotymi gwiazdami! Na ścianach, na słupach wszędy — malowania precudne! Wiją się po tych słupach, aż het na owe konary zachodząc, lilje pozłociste, czerwone, niebieskie, jak gdzie popadnie... po ścianach skaczą, niby żywe, cudne białe i złote koniki, o kogucich, czerwonych skrzydłach, albo koguty z końskimi głowami, albo innych dziwów mnóstwo! Jakies ci głowy ludzkie, zielonemi węzami oplecione, albo i głowy o wielu twarzach, błyskaniem djamentów i szafirów patrzące, a wszystko tu płonie od krasy przedziwnej barw i od łuny czerwonej płomienia, co w głębi na ołtarzu rozjarza się wciąż, przygasa i znowu rozjarza.

...Cóż ta za kościół taki? — myśli Ksenia — jakisi nieboskil..

Potem... jakby jej coś we własnej myśli odpowiedziało... że to jest, prawdziwie, kościół Świętej Tęczy!..

A to jakże ona daleko zaszła! bo Tęcza to przecie gdzieś, na końcu świata...

W głąb tego kościoła, ku głązowi, na którym Święty Ogień płonie, woń bursztynu i dymy błękitnawe wydechający, wiedzie ją ta Światłość pół jasna, co ją wciąż poprzedza i prowadzi. Bogu-Ogniowi pokłon oddała i obchodzi głąz dokoła.

Po drugiej stronie, na ciepłym kamieniu Wąż legowisko miał. Ksenia myśli, że to pewno Król węzów... taki wielki, złoty, w zielonawe plamy, jak w łuskę ubrany... Koronę ma djamentową na głowie... zielonemi, jak dwa wielkie szmaragdy, oczami blask sieje...

Złękła się Ksenia, ale ta, co ją wiedzie, przed bogiem Wężem przykleka i jej przykleknąć, niemówioną mową, nakazuje. Potem mówi coś do boga Węża, długo, długo... Ksenia słów tych nie słyszy, ale je czuje, jakby z własnej jej głowy, własnego jej serca szły... modli się, bo jest źle!.. ...tak i tak... ...gady się wzmogły... Zbrodnie sieją po świecie... prochu z trumien trzeba...

A bóg Wąż słucha... zwojami się potężnemi skręca i rozkręca, szmaragdowemi ślepiami migota... otworzyła się paszcza... i wyszedł z niej syk:

— Weźl...

Ogarnął Ksenię najstraszliwszy ze strachów, i wtem matki twarz jej się pokazała umarła... Potem przysła jakaś ciemność i czarną, nieprzezroczystą ręką zasłoniła jej oczy... Nic nie widzi, tylko nią przerażenie trzęsie.

Powoli Ciemność usuwa dłoń, znów coś widać w szarości mroków... co! to ta druga ona trzyma w rękę króbeczkę drewnianą przedziwnej roboty... do króbeczki tej płaską, srebrną łyżką sypie proch siwy z otwartej trumnicy... Boże!

I znów Ciemność dłoń czarną kładzie jej na oczach... i znowu trzęsie nią duch przerażenia... Ksenia się zrywa, uciekać chce... pojrzy wkoło... nic niema!... Dzień widny! W izbie cicho i pogodnie, słońce zimowe, przesianemi przez zieleń sosen promieniami kładzie się na podłodze, zielonawym tonem sycąc powietrze.

Ksenia, łokciami oparta o stół, ze snu straszniego otwiera zdumione oczy. Jak tu zielono!..

Nocy minionej na modlitwie zmorzył ją widać sen... ubrana jest, jak była wczoraj... wichry już nie grają... ra dworze mróz, cisza... pogoda... ubrana jest, jak była wczoraj, ale nie klęczy na podłodze... skądże się wzięła tu, przy stole... miesiącek świecił... czy miesiąc ją tu przyprowadził... a sen... jakież dziwny ten sen... i nic z niego nie zostało!.. Ksenia zasłania ręką oczy, myśli, przypomina... i nagle, gdy ręce odjęła, postrzega... na oknie... przed nią...

Króbeczka mała, drzewiana, przedziwne kształtu... ta sama...

Skąd się tu wzięła?!..

Na Rany Chrystusowe!

Skąd się tu wzięła?!

Nigdy nie miała jej Ksenia... nigdy nie było jej w domu!.. Chybaby za życia matki... coś przypomina... maleńka była jeszcze... ale nie, to sen ją ludzi dotąd i zwodzi... sen... mara!

Sztywnym ruchem podnosi się Ksenia od stołu i powoli, podziwiona i drżąca, podchodzi ku oknu.

Króbeczka stoi, jak stała!—bierze ją w rękę... ogląda... może... przed laty... za życia matki... może... Odkręciła z wrębów misternie rzezane przykrywadelko... otworzyła... w środku była szczypta siwego proszku...

Lica znachorki pobladły śmiertelnie... z powrotem zakręciła wieczko i postawiła króbkę na oknie.

Potem siadła przy stole, głowę podparła rękami i głęboko, głęboko zapatrzyła się w siebie. Przeżywała po raz drugi swój sen...

Jakże to było?

Jakież to było...?

Ale pamięć senna już ulatywała... nie wiązało się już nic...

Więc poszła myślą ku odległym wspomnieniom dzieciństwa, ale i tam mrok był dziwny i mgły...

Jakże to?...

Jak to było?...

A króbeczka stoi wciąż na oknie!

Sumienie Kseni było wstrząśnięte.

Wprawdzie, od dziecka żyła w jakimś świecie innym, czuła go w matce, czuła go i w sobie, ale do tychczas poczynała wszystko z Bogiem i nic nie było dziwne i niepodobne dla Jego Wszechmocy, a teraz... coś niepokoi Ksenię... Ten sen taki dziwny, wtem... nagle... błysk! Do Pana Jezusa modliła się wczoraj gorącymi łzami... to przecie Pan Jezus ulitował się jej

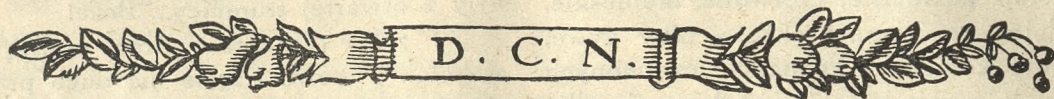
wołania i mąk nieszczęsnego narodu!... Pochwalony bądź, Jezu Miłosierny!

I uradowało się pobożne serce Kseni...

Zaraz w nią moc wstąpiła, moc nowa i spokój błękitu.

W rękę Twojem, Chryste, jest życie i śmierć! W rękę Twojem przeznaczenie człowieka i wszystko, wszystko!... Na tę nutę grały wciąż jej myśli... gdy krzątała się koło rannego obrządku.

Wtem zatętniały po grudzie kopyta, zadudniały koła... To dworskie konie! z Łęgów... Zebrała się prędko; dziewczynce sierocie, co ją przygarnęła po pogorzelnicach z sąsiedniej wioski, zdała opiekę nad dobytkiem domowym, i starannie okręciwszy szmatką króbeczkę, włożyła ją za stanik. Potem owinęła się w grubą chustkę i, przeżegnawszy krzyżem świętym, siadła na bryczkę.



M. CRNJANSKI

## ŚWIĘTA PROWINCJA

w tłumaczeniu M. Znatowicz-Szczepańskiej

2

Jakaś kobieta przystanęła i zajrzała do wnętrza golarni. Twarz jej przypomniała burmistrzowi pewną małą, czarną popadę, z powodu której przeniesiono go do tej dziury.

Wąsy mu się skrzywiły w uśmiechu, że aż golarz spojrział nań ze zdumieniem. On zaś patrzył w tej chwili na mokre, czarne drzewko, obsychające w pierwszym słońcu wiosennem. Pod tem drzewkiem klóciło się trzech rzemieślników, których pan burmistrz nie mógł ku swemu zdziwieniu poznać w lustrze. Jeden dowodził, że trzeba sprawę przedłożyć cesarzowi w Wiedniu. Drugi twierdził, że urzędnicy węgierscy zbijają wszystkich, gdy tylko nastaną, a trzeci wymyślał na patriarchę Czarnojewicza. Burmistrz zauważył, że powtarzają plotki, krążące po mieście. Mydlono go bardzo powoli, bo wiadano, że tak lubi. On znowu zapatrzył się w lustro. W jednym z rozmawiających poznał po palcach pewnego szewca z górnego miasta i zdziwił się, że ten mu się dotąd nie przedstawił. Spojrział nań wściekle z lustra, ale chłop najspokojniej rozprawił dalej przez nos o eskadrze angielskiej, stojącej pod parą u wrót Carogradu. Drugi uspakajał go i szeptał, że wszystkiemu winna jest matka księcia bułgarskiego, bo przyszła potajemnie podjudzać patriarchę i teraz wszyscy będą musieli

przechodzić na katolicyzm. Nagle chłopak przewrócił i rozbił talerz, a rozmawiający odskoczyli od siebie i odeszli. Na szybach topniał śnieg, a szmer ten usypiał Popicza. Fryzjer czynił swoją powinność powoli i w milczeniu, wiedział, że pan burmistrz nie rozmawia z golarzami. Pan burmistrz zaś zaczął myśleć o żonie i prawie zobaczył, jak wchodzi do pokoju i zbliża się do stołu, na którym stoi gorące mleko. Wieczerali zwykle wspólnie, ale rano on zawsze wstawał wcześniej i wychodził.

\* \* \*

Pani Mila podeszła do stołu i nalała sobie mleka. Koło dzbanka leżał kawałek białego cukru, zostawiony jej przez męża. Pan Pantaleon wrzucał sobie do kawy pięć, a jej od lat już wydzieliał jeden zawsze kawałek cukru. Trzymał go pod kłódką, klucze zaś nosił przy sobie. Podobno pani Mila mówiła kiedyś w towarzystwie, że nie lubi słodkiej kawy. Siadła przy stole i naciągnęła chustkę na odkryte ramiona; za oknem świszczał mokry wiatr.

Pani Mila była wysoka i szczupła; długi ogon jej czarnej sukni włókł się zwykle po podłodze. Piękna była, bardzo piękna. Pantaleon znał ją od jej dzieciństwa; przeszkakiwał kiedyś dla niej płoty w noc

miesięczne, ale to było dawno. Potem poznał Helenę, i to było niedawno. Temu zresztą winna była żona, bo lubiła chodzić do teatru. I zaraz wynikły komplikacje: naopowiadano jej o cygankach, o szwaczkach, Bóg wie, o czym. A pewnego wieczoru uderzył ją. Ale to było dawno. Miłość jej przeszła szybko, zostawiając po sobie jakiś cień przerażenia i jakby ogłupienia w oczach. Tak opowiadał pan Panta w towarzystwie. Ale to było dawno temu, pewnego wieczoru, gdy płakała, że nie ma dzieci.

A teraz... teraz, to już przeważnie milczała, wiedziała bowiem wszystko. I w tej chwili wiedziała, że goli się i perfumuje, zanim pójdzie do „tamtej“.

Jej wąskie, czerwone wargi, trochę skrzywione, drgały tylko, gdy przyjaciółki i kumoszki mordowały ją swemi naukami i żalami; patrzyła na nie i mówiła cicho i pogardliwie:

„Niech tam, to rzecz męska“. Ale jakże jej było ciężko! Dzień jeszcze przechodził prędko, wieczorami jednak męczyła się bardzo. Brała do ręki cudowną powieść Milowana Widakowicza i siadała pod piecem. Nie lubiła, by ją kto odwiedzał, i sama nie szła nigdzie, chyba do cerkwi na nieszpory... Teraz przyjechał teatr. Cieszyła się z tego, lubiła pójść wieczorem na przedstawienie, szczególnie, gdy wszyscy „mówili wierszami“.

Nie umiała tabliczki mnożenia, nie wiedziała, że istnieje Australja, nie rozumiała, czemu statek idzie sam aż do Belgradu, a nie trzeba go ciągnąć. Umiała tylko łyzy ronić, gdy aktor Rużicz, grający rolę Romea, wyciągał pod balkonem ramiona do kwiatów, do gwiazd i do Julji i tak pięknie wzdychał „ach, ach“!... a Julja słaśniała się na poręcz, rozmarzona, miotana żądzą, biała, jak nocne kwiaty.

Budziło to w niej ból bezkresny, nieopowiedziany ból kobiecy... Brzydziła się wszystkim, co lubili mężczyźni.

Siedziała zamysłona przy stole.

Na dworze wróble skakały po łańcuchach.

Przypomniało jej się, jak niegdyś on przychodził o tej porze, dzwicząc ostrogami, i pieścił ją. Zajął ją w nim ta właśnie delikatność. Nie piękność, nie... Podobało jej się, że całuje ją w rękę i mówi zawsze „proszę“, że ma takie małe nogi. Wszyscy inni wydawali jej się pospolici.

Ten np. Topałowicz: grał wprawdzie cudnie na skrzypcach, ale kiedyś schwycił ją w ciemnym przejściu tak, że aż krzyknęła ze złości! Tylko, że to wszystko było już dawno, dawno temu...

Wzięła gazetę ze stołu i coś tam czytała o budzie państwa, ale rzuciła wprędce, nałała sobie jeszcze trochę mleka i spojrzała na bilety do teatru,

leżące na stole. Czarno ubrana, szczupła, pani Mila chodziła chętnie do cerkwi na nieszpory i modły za umarłych, a wieczorami do teatru, ronić łyzy za don Karlosa.

Głos aktora w szczególny sposób pozbawiał ją tchu i pogrążał w zachwycie. Jego piękny kostjum doprowadzał ją do szaleństwa. Gdyby się kiedy znalazł mężczyzna, ubrany w jedwabie, z pięknymi białemi rękoma, lśniącemi od cudnych pierścieni, mówiący „słodko wierszami“, — gdyby taki do niej przystąpił, gotowaby się dać zabić za niego! Marzenie o tem wydawało jej się tak boskiem, że często, leżąc w łóżku, cicho jęczała. Bardzo lubiła leżeć tak wieczorem samotnie. Wzdrygała się na samą myśl, że mąż przyjdzie i będzie chodził po pokoju w luźnej, wygniecionej bieliźnie, woniejący alkoholem, podobny do jakiegoś straszdyła. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, ale bała się wszystkiego, co męskie.

Zaiste życie jej było pozbawione sensu, a zato pełne łez.

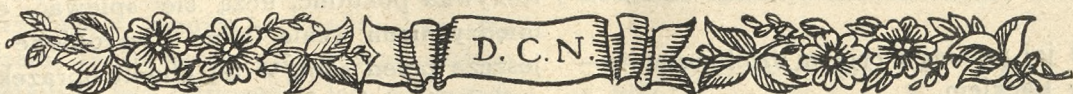
Nie miała pojęcia, gdzie jest Wenecja i Cypr, ale w jej wielkich, błękitnych oczach, okrążonych głębokim cieniem, pozostał mrok, i strach, i zatajony krzyk od chwili, gdy widziała, jak Otello zapala i gasi świecę, a Desdemona leży i blada uśmiecha się przez sen...

Po skończonem przedstawieniu wcześniej się kładła, ukryta w swoim pokoju. Miasto cichło i tylko pijacy przechodzili, obijając się, pod jej oknami.

Ona zaś leżała zamysłona, wiecznie zamysłona... Żeby kto wtedy widział, jak ta kobieta była piękna. Kontury jej ciała, miękkie i delikatne, przeświecały prawie w blasku księżyca. Zbyt wąskie i trochę skrzywione usteczka były może mniej ładne, ale trzeba było widzieć piersi rozfalowane, kolana, zawsze gorące... Te delikatne kolana czyniły ją podobną dziecku... W miejscu, na którym leżała, pościel nie była nawet zmięta, a gdy przechodziła, ledwo było można usłyszeć lekki szelest, jakby białych skrzydeł.

A żeby kto pogłodził jej przesłoniczne ciało, aż nazbyt białe, nazbyt delikatne, zawsze jakby ścierpłe i zziębnięte... Ale tego wszystkiego nikt nie znał.

Pani Mila całemi dniami leżała koło pieca i czytała o św. Genowefie. Nie modliła się nigdy, ale była obecna przy każdym nabożeństwie. Przychodziła na nie zawsze, nawet, gdy deszcz padał. A gdy śpiewano o Chryście i Serafimach, cicho nuciła i ona; jakaś nieznama radość rozlewała się wówczas w jej ciele, jakaś miodna słodycz, nigdzie nie spotykana, tylko tu, w tym pachnącym kadzidlany mroku. Szczególnie wczasie komunji Mila aż drżała z upojenia.



## ZUZANNA ZE STRZEMBOSZÓW OŻAROWSKA

„A fundację tę stanowią na intencję i za dusze ś. p. Dziada i Ojca, oraz zgasłego najdroższego rodzeństwa mego“...

Cztery bite strony drobnego kobiecego pisma zawierające, testament jest żywym świadectwem tej czystej, gorącej duszy, która z całego nieszczęsnego życia nie wyniosła ani krzty gorczy, czy rozżalenia, jeno płomienną ku ludziom miłość i poświęcenie. Oto jego zakończenie: „Krewnych, powinowatych, małżonka czci najgodniejszego, jeżeliby mnie z woli Bożej przeżył, sług, a mianowicie ubogich, tych przyjaciół Chrystusa, których tak za życia miłując, tak mało im tego dowodów dać mogłam, żegnam i dziękuję za wierną i uprzejmą życzliwość i usługi... Zwłoki moje mają być tam złożone, gdzie mnie Bóg śmierć naznaczy. Ta jest, a nie inna, najdobitniejsza wola moja, a byle Pan Bóg grzeszną duszę na łono miłosierdzia swego przyjąć raczył, o tę garstkę popiołu bynajmniej troski nie mam“.

Od tego czasu żyje pani Ożarowska tylko myślą o ukochanym przez siebie dziele. Już w ostatnich latach swego życia, coraz bardziej modlitwie i pracy oddanych, szczególnie, odkąd w r. 1880 wdową po wtórnie została, przenosi część sióstr do Lackiego, ciesząc się myślą swą, w żywe kształty się oblekającą. Starość ma smutną, lecz pogodną, otoczona jest miłością i poważaniem. Dwór w Lackiem, wspomniany przez długie lata w okolicy z przestachem i grozą, obecnie jest źródłem dobrodziejstw, spływających na wieś otaczające. Ubogi, chory, nikt nie odejdzie od drzwi bez pociechy. Na to i na pomoc coraz częstszą i obfitszą dla rodziny, obracane są olbrzymie dochody kilku folwarków, bo sama pani Zuzanna żyje nadzwyczaj skromnie.

Gaśnie, w otoczeniu matek Opatrzności, w Lackiem, 13 stycznia r. 1892. Przed śmiercią, jednak, wbrew zapewnieniom testamentu, poleca pochować swe zwłoki na cmentarzu wiejskim w Lackiem. Tam leży jej matka, tam, w otoczeniu ukochanych ubogich, będzie jej dobrze i lekko. W kaplicy grobowej na Żórnawce leżeć nie będzie, pomimo tego, że miejsce, dla niej przygotowane, czeka. Tam leży jej rodzeństwo, mąż pierwszy, ojciec: „ja ze zbójami leżeć nie chcę“ — mówi z gorczą i bólem.

Życzenie jej zostało uszanowane: skromny grobowiec na wiejskim cmentarzu kryje zwłoki tej, która niegdyś była zwaną piękną Zuzanną, bogatą, jak Krezus, a która przez całe życie chwili szczęścia nie zaznała.

Żyje dotąd jej pamięć i żyje jej dzieło ostatni—dom pokutnic w Lackiem.

## IV

Dom dla pokutnic w Lackiem udziela opieki około 45 pokutnicom. Nie są to w ścisłym znaczeniu tego słowa osoby złego życia, niema między niemi osób, zawodowo trudniących się nierządem.

Dziewczęta uwiedzione, niejednokrotnie ofiary wojny, służące, lub robotnice; są między niemi także biuralistki, nauczycielki. Coś pewnego o historii ich dowiedzieć się trudno. Przechodząc przez próg Zakładu, zostawiają poza nim swoją osobowość, stają się na zewnątrz numerem — na wewnątrz — duszą. Wraz z sukniami zmieniają imię, tak, iżby ślad ich poprzedniego życia jaknajbardziej został zatarty. O dziejach ich życia wiedzą dwie — trzy zakonnice. Zresztą nie dowie się nikt nic. W głęboko schowanej książce przyjęć będzie tylko zanotowane krótkie curriculum vitae i wymienione nazwisko. Przychodzą tu albo same, albo je rodzina przyprowadzi, niejednokrotnie odstawi policja, czasem wprost z więzienia. System życia regularny, klasztorny. Wygód mało, pożywienie zdrowe i obfite. praca dość lekka, nauka i czytanie, a wszystko to przeplatane częstą, zbyt może częstą, modlitwą. Do niej, jednak, nie zmusza się nikogo. Po skończonej, na przykład, godzinie robót wszystkie pokutnice wstają i odmawiają głośno za zakonnice modlitwę, o ile jednak która tego nie uczyni, nikt nawet pozornie uwagi na to nie zwróci. Tak samo nikt nie zmusza, ani nawet nie namawia pokutnicy do przystąpienia do Sakramentów Św. Czekają, by czas i pobożne przykłady zrobiły swoje.

Spędziłam w Lackiem jedną piękną, czerwcową niedzielę. Zakład, mieszczący się w prześlicznym pałacu, wśród zaniedbanego, ale bardzo pięknego parku, sprawia wrażenie dziwnego spokoju, ciszy, oderwania od świata.

Pokutnice, ubrane wszystkie w mundurki, dzielą się już na pierwszy rzut oka na dwie grupy, te, które już tu parę lat spędziły, i nowo przybyłe. Pierwsze sprawiają wrażenie bardzo miłe. Patrzą prosto w oczy, są śmiałe, wesołe, swobodne. „Nowe“, wśród nich kilkoro dziewczątek jedenasto — dwunastoletnich, ponure, patrzą z podełba, nieufnie, jak zwierzątka połapanie w klatkach. Twarze żółte, zniszczone. „To nic — mówi mi Matka przełożona — że teraz źle wyglądają; za parę miesięcy oswoją się, odkarmią i nabiorą zaufania“.

Po obiedzie słucham śpiewów. Jest to ulubiona rozrywka pokutnic, uczą się śpiewać chętnie, a są między niemi wcale ładne i wyrobione głosy. Widzę jeszcze przed sobą w tej chwili obrazek, który wtedy zrobił na mnie głębokie wrażenie: w sali niskiej, o za-

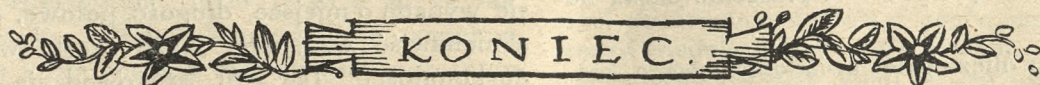
kratowanych oknach, grupka „dawnych“ pokutnic, z zakonnica pośrodku, śpiewa, uśmiechając się do mnie. W przeciwległym kącie tłoczy się kilka „nowych“. Dźwięczny sopran intonuje pieśń: „Nie wolno nam chmurzyć czoła, niewolno się smucić! Dalej, Hal-ko, bądź wesoła, zacznij piosnkę nucić“ Zaiste, nie wolno im chmurzyć czoła — jest im właściwie tak dobrze... mogły o tyle gorzej trafić...

Pytam o postępy w wyrobieniu moralnem pokutnic. Z odpowiedzi przekonuję się, że, w ścisłym znaczeniu, praca w tym kierunku nie jest prowadzoną. Wpływa się na nie w duchu religijnym, ucząc katechizmu i wdrażając do pobożności, ale kwestja etyki ludzkiej, że się tak wyrażę, nie jest wcale poruszana. Pochodzi to, rzecz prosta, z samego faktu, że zakładem kierują zakonnice, osoby, które, przeważnie młodo wstąpiwszy do zakonu, wyrobiły się tylko w jednym kierunku. A szkoda, wielka szkoda. W takich osobach, które już życie tak bardzo chwyciło w swoje kleszcze, i tak silnie wybiło na nich swe piętno, należałoby rozbudzić wszystkie wysokie struny duszy ludzkiej, a nie tylko w jedną uderzać. Mam wrażenie, że ta właśnie jednostronność oddziaływania jest powodem, że, wedle opowiadań Matek, pokutnice po wyjściu z zakładu rzadko tylko wytrwają w swych dobrych postanowieniach. Najczęściej, gdy już wyszły z pod zakładowego rygoru, ulegają nanowo pokusom.

Oczywiście, są wyjątki. Wyszły z Lackiego najlepsze żony, matki... ale mały, bardzo mały procent. Dlatego Matki woła nie wypuszczać na świat swych owieczek. „Możemy o nie być zupełnie spokojne, tylko gdy są przy nas“—mówi mi Matka Przełożona. Jest też kilkanaście takich, które są już w Zakładzie lat wiele i mają szczerzy zamiar pozostać w nim aż do śmierci.

Zapytuję, czy Matki w pracy swej odczuwają demoralizujący wpływ wojny. „Ależ oczywiście!“ Tak, to samo słyszałam od Sióstr Miłosierdzia z rozwiązanego, Zakładu św. M. Magdaleny we Lwowie. A najgorsze zepsucie szerzy się wśród kilkunastoletnich dziewcząt, wśród tych, które dorastały przy końcu, lub po wojnie. W Zakładzie św. M. Magdaleny piętnastoletnie dziewczynki zachowywały się i mówiły w ten sposób, że stare, kryminalne więźniarki rumieniły się ze wstydu. I, niestety, są to najczęściej już istoty, stracone moralnie. Wszelka praca nad nimi nie odnosi skutku. Gangrena wojenna... Dla takich, jednak, miejsca w Lackiem niema. Bardzo zepsutych dziewcząt Matki u siebie nie zatrzymują. Stawiają też jako warunek przyjęcia, zdrowie fizyczne.

Zakład Opatrzności w Lackiem jest w społeczeństwie napewno czynnikiem dodatnim. Spełnia on swoje zadanie. Niezupełnie jednak. Brak miejsca nie pozwala na przyjęcie większej liczby zgłoszeń a zgłoszeń jest bardzo, bardzo dużo.



N. SAMOTYHOWA

## O TWÓRCZEJ WARTOŚCI PRZEMIJANIA

Czytając ostatnie zbiory nowel J. Kadena-Bandrowskiego („Przymierze serc“, „Miasto mojej Matki“ i „W cieniu zapomnianej olszyny“\*), ma się zawsze wrażenie zetknięcia się ze sprawami wieczności. Co składa się na to ich metafizyczne tchnienie, kiedy równocześnie autor zdaje się być pochłonięty przez życie samo, przez rzeczywistość, jej przedmiotowość i szybki bieg?

Czujemy to tchnienie choćby w pierwszych słowach *w e z w a n i a* („Kukułka“), gdy mówi o paleniu ognia z synami, czy w obrazie rzuconych w olśnieniu przez Matkę kwiatów wczasie pochodu z Mickiewiczem, czy... przykładów mnożyćby można bez liku.

Przypuszczam, że dawanie szczegółom małego, należnego im miejsca, bez odrywania ich od metafi-

zycznej całości, w której pozostają zanurzone (tak, jak jest naprawdę), powoduje ów psychiczny w czytelniku mus spoglądania na misternie wykonane drobiazgi życia, jakich u Kadena pełno, sub speciae aeternitatis i widzenia poprzez nie, w nich i poza nimi ogromnych obszarów bytu, trwania i istnienia w służbie niewiadomych potęg, których jedynie są chwilą, czy drobnem lśnieniem.

Kaden, niedawny barokowy rzeźbiarz myśli, przybranych w mówione dźwięki, dzisiejszy miłośnik prostoty, poszukiwacz właściwego wyrazu, wywołującego przedmiot, sytuację, przemawiający nastrojem i rzeczo-

\*) Juliusz Kaden-Bandrowski: „W cieniu zapomnianej olszyny“. Wydawnictwo zakładu narodowego im. Ossolińskich.

wością, u którego każde wydarzenie ma własny język, a prostota tego języka dochodzi czasem do stylizowania monosylab i nieartykułowanych dźwięków życia — i, jak w tej książce dzieciństwa, do budowania wiadomych dzieciom skrótów myślowych, pełnych uroku i wymowy, — Kaden, osiągający przez lotność spostrzeżeń iście kinematograficzne efekty dynamizmu („Wścigi“, „Polityka“) i niezrównanie lekką plastykę w grotesce (np. sylweta fryzjera w „Polityce“, p. Walczaka w „Wścigach“, Filipina, Tomasz) przechodzi w ostatniej swej książce często od mozartowskiego allegretta do pełnobrzmiących, patetycznych tonów Beethovena. Bierze nas w rytm i głębię symfonji i nie pozwala poprzestać na lubowaniu się samą finezją wykonanej przez siebie roboty — zwłaszcza, gdy z motywem synów (powracającym często) staje oko w oko ze sprawą jednostkowego przemijania, które jest niczem, wobec nieprzerwanego łańcucha istnień.

Ton ten dźwięczy raz poraz, gdy dziś, człowiek dojrzały, świadomy, mocno w życiu zagospodarowany i osiadły, powraca do niemających początku spraw dzieciństwa. I tu zwyczajność i codzienność raz wraz mija się z atmosferą wieczności, która przepaja książkę. „Głos wawelskiego Zygmunta“, „wylewający się“ w powietrze — i gaza na latarniach, o którą kłóca się chłopcy; patetyczna chwila powracania Mickiewicza do kraju, chwila, od której bladeścią wzruszenia powlekają się twarze panów, — i pieczenie ciasta na ucztę tego dnia.

Kaden, pisarz niezwykle świadomy swego rzemiosła, trzymający przed sobą wciąż zwierciadło, panujący jak mistrzowski dyrygent nad orkiestrą własnych środków artystycznych, ściszący i wzmacniający ich natężenie, dopracował się w swoim nowym zbiorze nowel do tak świetnie skomponowanych całości, jak „Wścigi“, „Polityka“, „Gucio“. Są one proste, jasne, żywe. Lecz nie jest to prostota niewiedzy i ubóstwa. To prostota — z drugiego końca: doświadczenia i przegromnej pracy.

Może dlatego te, o tak niezmiernie zajmującej fabule, tak pełne ruchu, nowele nie dają się czytać jednym tchem. Czytelnik — pomimo wszystko — musi je zdobywać. Prawdziwy czytelnik musi je przeżyć. Przeżywanie męczy. Nie dają się te utwory brać, jako rozrywka i miłe przepędzenie czasu: stają przed czytającym, jako dzieła sztuki, pełne powagi i godności. Cóż dopiero „Kukułka“ i „Ostatnie Imieniny“.

W każdej z nowel Kaden dobiera się do naszego serca i arcydzielnie obmyśla chwyt szczytowy, którym pokonywa opornego czytelnika. „Chwyt“ ten by-

wa natury uczuciowej („Gucio“, „Kukułka“), albo działa na wolę, uderzając w pierwiastki społeczne, lub etyczne („Wścigi“, „Polityka“, „Imieniny“).

Konstrukcyjnie pomyślane to jest w ten sposób, by szczegóły wstępne, przygotowawcze, spiętrzały się ku momentowi naczelnemu, w którym występuje jawnie, lub w sposób utajony, „idea“ utworu, sens najgłębszy, ośrodek krystalizacyjnej mozaiki życia.

I chociaż pomyślane to jest artystycznie i gwoli zwartości kompozycji, lecz bliskie jest samej prawdy życia, w którym co pewien czas odnajdujemy ośrodki ogniskowe dla wydarzeń potocznych, bądź niekiedy, przez mgnienie, jak w olśnieniu, chwytając sens i wartość „tego wszystkiego“, węzłem mocnym wiążemy się z powagą istnienia i w ten sposób cementujemy jego pozorną rozpieczęłość i bezsens. Momenty takie w książce Kadena przypadają w toku akcji, albo są jej przypieczętowaniem, końcowym słowem.

One to może stanowią źródła cierpienia dla czytającego, wymagając współ-wiedzy, współ-czucia i skupionego współ-życia.

Więc w pogodnych, wesołych, tętniących animuszem, rodzajowością i mnóstwem przepysznych spostrzeżeń „Wścigach“ te słowa: „Jakże niepojęte jest i niezgłębione straszliwe piękno tego świata?! Nigdy niczego tu w życiu sami nie tworzymy, wszędzie nam towarzyszy krok współzawodnika — na progu wiedzy, czy na szczytach szczęścia! Wszędzie nam zmagać się wypada o miejsce, długość, połowę, choćby ćwierć, a nienawiść wzajemna jakże często wiedzie nas do doskonałości?“ (str. 26) wyprowadzają nas na wielki obszar życia i arpeggiem Larga przywołują czujność!

Ten wścig chłopczyków — niby zabawa nic nieznacząca, wydobywa z nich najwyższe napięcie woli, jest walką o zwycięstwo żadnego sławy i triumfu własnego, niepodzielnego jestestwa człowieka. Te „wścigi“ — to zderzenie się jednostek, współzawodniczących w biegu przed siebie — o wszystko, a zwłaszcza o wynik, jaki dać może porównanie p o t ę g i, tkwiącej w człowieku. Nowela — o istotnej, prawdziwej — a społeczności człowieka, który zawsze o triumf własnego ja walczyć będzie wśród najbardziej nawet idealnie skonstruowanych form społecznego życia, — nowela o jednej z wielu „amoralności“ życia — i jej końcowa „pointe“ a: straszliwy niepokój i miłość matki, ścierające na proszek, na nicosć poprzedni triumfalny lot, dla którego koń jest skrzydłem. Po brawurowem p r e s t o-melancholji pełne takty końcowego a n d a n t e. „Od tej chwili, — do dziś — nie wiem... Czy triumf jest ważniejszy, czy jego lęk pokorny? Czy rozważa zwycięska, — czy miłość przerażona?“ i te ciche, zastana-



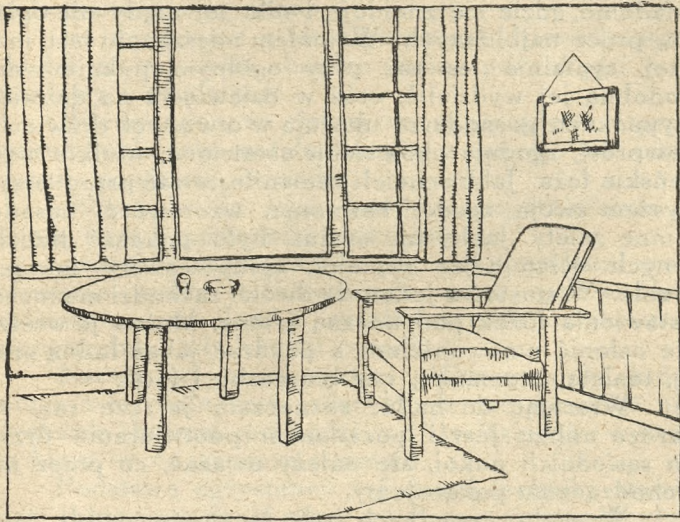






## O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

H A L L



Gdy przestępujemy po raz pierwszy próg czyjeś domu, zawsze mamy, choćby w najmniejszych wymiarach, pewne uczucie ciekawości. Jak też ci, do których idziemy, mieszkają? Nie chodzi tu o złośliwą ciekawość, chęć wybadania stanu posiadania, zamożności, czy ubóstwa, chodzi o poznanie „duszy domu”. Albowiem człowiek, nie chcąc i nie myśląc o tem, będzie zawsze mieszkał w otoczeniu, właściwym swemu usposobieniu. Upodobania, zamiłowania, charakter, cała natura — odmalowuje się w home'ie człowieka. Dlatego najłatwiej poznać i najlepiej — można kogoś w jego własnym domu. Dlatego też Anglicy strzegą swego home'u przed obcymi, dopiero dobrze poznanych ludzi wpuszczają do wnętrza domu, pozwalają przeniknąć atmosferę, w jakiej żyją. Rozumieją oni dobrze, że ich świat wewnętrzny jest ujawniony w pozorach martwych przedmiotach, w ich układzie i jakości, ale są dyskretni i skryci, strzegą niedostępności swych siedzib przed obojętnymi i obcymi. Mieszkanie demaskuje człowieka.

Po wielkich przewrotach, w ciężkich czasach dzisiejszych, nie każdy mieszka, jak powinien, jak mieszkał kiedyś, jakby chciał... Ale zawsze i wszędzie, w każdych warunkach, można wykazać kulturę i estetykę.

Wracając do uczucia ciekawości poznania duszy człowieka przez jego mieszkanie, to nieomyślnie i najprawdziwsze wrażenie będzie to pierwsze, jakie odniosimy, przekroczywszy próg.

Hall jest pierwszą ubikacją, jaką spotykamy w domu.

Wzręck wybiega ciekawie naprzód, bada chciwie meble i obrazy, zahacza o szczegóły, stara się przeniknąć ściany i zamknięte drzwi. Jak też tu jest?

I może dlatego należy poświęcić trochę uwagi hallowi. Nie należy, bowiem, traktować go po macoszemu, zepchnąć doń stare, połamane graty, zrobić napoczekaniu spiżarnię czy skład nasion, nie opalać w zimie, zawiesić stare, zczerniałe obrazy, na których nic rozeznąć nie można. Nie należy go również urządzić z przesadnym zbytkiem, wyścielać kobiercami, zastawiać mahoniami i bronzami. Hall nie może za-

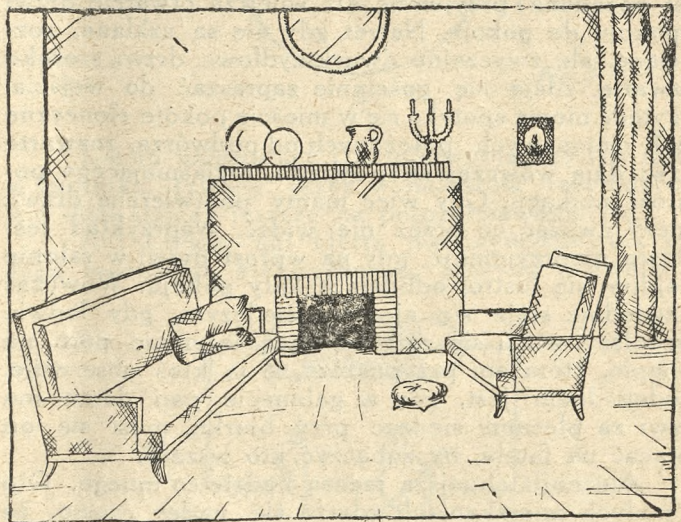
głaszać całego mieszkania, powinien dawać przedsmak tego, co czeka w salonie, bibliotece, gabinecie.

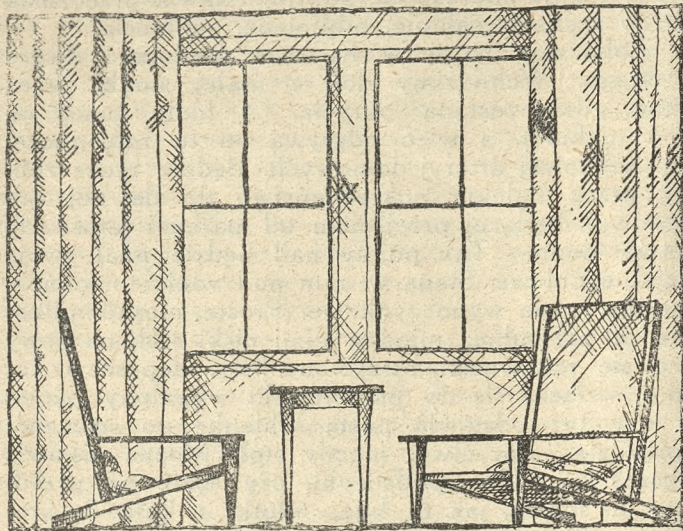
Zobaczymy najpierw hall-sień średniego dworu wiejskiego. Wchodzimy doń z małej sionki przez szatnię, gdzie zostaną okrycia. Z hallu mamy salon i gabinet, a więc odgrywa on tu rolę raczej stacji węzłowej arteryj domowych. Będzie może zbliżony przez dalekie pokrewieństwo do dawnej sali ogrodowej, będącej przejściem od parku i tarasu do wnętrza domu. Tak pojęty hall będzie miał swoje specjalne oblicze. Staną w nim pod wielkiem oknem wygodne fotele wypoczynkowe. Proste, nieskomplikowane, a przytulne; między nimi niski stół, na który rzuca się rękawiczki, otrzymane listy, depesze i kapelusze, włącza się do popielniczki wypalony papieros, czy też odstawia pustą szklankę po smacznej limonjadzie. Poczciwy, mocny stół. Można ustawić w kącie specjalne podstawki, czy szafę na przedmioty do sportu, jak to kije, młotki i kule do krokieta i golfa, rakiety tenisowe, piłki i inne. Na ścianie parę akwarelowych widoków i jasna, prosta lampa pośrodku. Dodajmy wywoskowaną posadzkę, białe, lub kremowe ściany, dębowe ciemne drzwi, a może i niską boazerję, kotarę przy oknie, pozwalającą w słotne jesienne wieczory oddzielić się od chłodu i wilgoci — a będziemy mieli pierwszy obrazek sieni nowoczesnej.

Odmian może być dużo. Meble niech będą obite piękną skórą, dywan pod nogami, ściany ozdobione myśliwskimi trofeami, na stole pisma, obok stojąca lampa pod wielkim abażurem. To drugi obrazek.

W bardzo dużym dworze, w pałacu, czy odrestaurowanym zamku można największą salę parterową potraktować, jako hall. Wtedy będzie on całkiem inny, nie wykluczając istnienia pierwszego hallu wejściowego, entrence hall. W takim hallu będą piękne dywany i meble, rzeźby i fortepian, kwiaty i obrazy; będzie on salonem, a czasem i biblioteką jednocześnie, będzie to w wielkiej skali pokój mieszkalny, dining room, jak mówią zagranicą.

Wracam do małych halli-sieni. W domu podmiejskim, gdy może już nie być salonu, w hallu należy stworzyć jeden, lub dwa zaciszne kąty, gdzieby można się zgrupować w parę osób do pogawędki. Nieocenionym będzie wówczas kominek. Płonące, a choćby żarzące się drzewo, czy węgiel, dadzą miłe ciepło i blask o zmroku. Wkoło przytulna kanapka i fotele, można zawiesić poważniejsze obrazy, czy ar-





tystyczne reprodukcje, ustawić wysokie lampy, stoliki, wazon. Gdzieś około okna znów parę foteli wkoło stołu, dywan, tłumiący kroki, radio, telefon.

Skromne mieszkanie miejskie też ma swój hall, zwany przedpokojem. Przewiduję w przyszłych domach, że owe halle będą większe, dostaną okno, a może i kominek. We wnęce umieści się wieszadła, a w reszcie pokoju jakieś miłe, prościutkie meble, choćby dwa fotele wyplatane i stolik, kilimek na ścianie, parę poduszek roboty pani, wypchanych skrawkami materiałów, na podstawie piękna paproć, czy asparagus, biała firanka — a włożywszy trochę pracy, kosztów, i dużo dobrej woli, mamy sympatyczny zakątek, gdzie można kogoś przyjąć, czy samemu posiedzieć parę chwil, wypoczywając po pracy.

Hall jest wstępem do mieszkania, należy go też tak traktować. Gdy się ma bardzo dużo cennych przedmiotów, może się część ich znaleźć też i w hallu, ale zasadniczo należy unikać, aby hall był ozdobniejszy od innych pokoi, raczej lepiej niech będzie trochę za pusty i za surowy, niż za bogaty i za ciężki. Dziś szczególnie dąży się do odciążenia mieszkania ze wszystkiego, co nie jest potrzebne i użyteczne. Pomijając meble i ich ustawienie, należy zwrócić uwagę na to, „co widać“ z hallu, a więc na perspektywę mieszkania. Przykre są domy, których wszystkie drzwi są zawsze pozamykane. Nieraz duże mieszkanie robi wrażenie ciasnego. Gdy nie zachodzi potrzeba poboczna, jest pożądane i przyjemne dla wnętrza otwarcie drzwi z pokoju do pokoju. Nawet, gdy nie są szklane, rozsuwane, ale zwyczajne dwuskrzydłowe drzwi, szeroko rozwarte, zdają się gościnnie zapraszać do wejścia. Przytem nieraz spotyka się w mieście pokoje słoneczne obok ciemnych, położonych od podwórza, rozwarte drzwi dają wówczas snop światła, rozjaśniającego ponurość ubikacji. Gdy więc mamy pootwierane drzwi, należy uważać, co przez nie widać. Naprzykład jest bardzo nieprzyjemnie, gdy na wprost drzwi w salonie znajduje się lustro, odbijające kąty pokoju. Wówczas bezwiednie staje się agentem śledczym, gdy ledwie wszedłszy, widzi się rozmawiającą intymnie parę na kanapie, która ani przypuszcza, że ją ktoś obserwuje. Niedogodnym jest, gdy w gabinecie pan domu ma drzwi za plecami; siedząc przy biurku, musi się on obracać na fotelu, by zobaczyć, kto wszedł.

Ale najfatalniejszą rzeczą będzie co innego. Oto w małych mieszkaniach zdarza się nader często, że

z saloniku, jadalni, czy gabinetu drzwi prowadzą do sypialni małżeńskiej. Zgodnie z moją zasadą, drzwi trzeba trzymać otworem, aby ujednostajnić temperaturę i, aby powiązać elementy poszczególne mieszkania w jedną całość. W mieszkaniach i domach większych sypialnia jest częścią tak intymną domu, że nie wiadomo, gdzie się znajduje i nikt jej nigdy nie ogląda, prócz najbliższych. W małym mieszkaniu jest inaczej, sypialnia jest tuż przy ogólnym pokoju i nie podobna jej wydzielić; otóż w dziewięciu na dziesięć wypadkach gospodarze ukazują w otwartych drzwiach, nawprost, zgodnie obok siebie ustawione, wielkie małżeńskie łóża. Jakby chcieli zmanifestować przed przybyciem swoją zgodę, harmonję, wzorowość, zasady i inne zalety. Jakby nie można było pokazać trzech innych ścian teje sypialni, zgrupowawszy inaczej meble. W stosunku jeden do dwóch zachodzi możliwość ustawienia łóżek pod boczną ścianą. Można je wreszcie osłonić parawanikiem, a pokazać jakąś ładną szafę, toaletę, otomanę, czy biureczko i fotel.

Wracając do hallu, zaznaczam jeszcze raz, że bardzo miłym jest i pożądanym pootwieranie drzwi do sąsiednich pokoi, ale należy uważać, co przez nie wchodzącemu pokazujemy.

W wielu wypadkach hall łączy się w roli, jaką gra w domu, z pokojem mieszkalnym; naprzykład hall w małej willi nadmorskiej.

Pomówię o takim połączeniu, poruszając temat pokoju mieszkalnego.

Zygmunt Knothé.

## JAK WYNALEZIONO RADJO?

Do ciebie piszę, nieszczęsna czytelniczko, której przypadło w udziale mieszkać gdzieś daleko, może nawet o kilkadziesiąt kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. Wieczór zimowy... za oknami huczy wichur... zasypane śnieżne odcięty od świata dworek, ukryty wśród rozłożystych drzew. Tam daleko w wielkich miastach wre gorączkowe życie — ludzki genjusz i namiętności toczą walkę zacieklą: walkę twórczości ze zniszczeniem — tutaj cicho, głucho i jedynym łącznikiem ze światem są stare, z przed tygodnia, gazety.

Pragnę ci ofiarować, o piękna pani, zaczarowaną skrzyneczkę, co ci wszystko powie o tym dalekim, tajemniczym świecie.

Parę zwojów drutu, jakieś dziwne lampki, słuchawki, baterje, reostaty, kondensatory, transformatory składają się na ów tajemniczy przyrząd, który co wieczór przyniesie ci najświeższe wiadomości z dalekich stron, przyniesie ci słodką muzykę i śpiew i napełni twą cichą samotnię rozgwarem wszystkich języków naszego globu. Wyobrażam sobie twój przestach już przy czytaniu tych kilku technicznych wyrazów, które mi się niechcący nasunęły pod pióro.

Nie trwóż się, Panil

Postaram się powoli wyjaśnić ci tę tajemnicę owej zaklętej szkatułki, tajemnicę najcudowniejszego wynalazku XX wieku, zwanego radjem. Tajemnicę, która w gruncie rzeczy jest prosta, jak ów przyrządek, dający się pomieścić nawet w łupince od orzecha.

Nim jednak weźmiemy się do rozwiązywania tajemnicy radja, oddajmy hołd należny elektryczności i poświęćmy jej słów kilka. Bo jeżeli możemy co wieczór słuchać przy kominku koncertów z różnych

stolic, to zawdzięczać możemy to owej tajemniczej mocy, którą starożytny grek odkrył z łąką w bursztynie, nie wiedząc, że jest to ta sama potęga, która wypada w kształcie piorunu z rąk ojca bogów — Zeusa.

Od greckiej nazwy bursztynu — elektron otrzymała też ona swe miano.

Co my wiemy o elektryczności? Niewiele, jeżeli chodzi o jej istotę, bardzo dużo, gdy chodzi o jej przejawy i działalność.

Wiemy więc, że elektryczność przepływa poprzez pewne ciała jak: metale, ziemia, a innych, jak szkło, ebonit, powietrze — unika.

Stosownie do tego dzielimy wszystkie ciała na dobre i złe przewodniki elektryczności.

Jednakże zastanawianie się nad sposobami przepływu prądu elektrycznego przez przewodniki, obliczanie jego ilości i wysokości napięcia jest nam niepotrzebne, gdy chodzi o radio.

Nazwa tej nowej gałęzi elektrotechniki, która, mimo swej młodości, zdążyła się już rozwinąć niesłychanie bujnie, pochodzi od łacińskiego wyrazu: radius — co oznacza promień.

Podstawą egzystencji tej nowej techniki, stawiającej sobie za zadanie porozumiewanie się na odległość bez użycia materialnych przewodników, jak się to dzieje w telegrafii i telefonii drutowej, jest zjawisko promieniowania elektromagnetycznego.

Na czymże polega owo promieniowanie?

By sobie dokładniej uświadomić istotę tego zjawiska, przypomnij sobie, Pani, pewne doświadczenie z młodych lat, poczynione na gładkiej powierzchni stawu. Rzucasz kamyczek w wodę i oto z miejsca, w którym dotknął on powierzchni, rozchodzą się zwolna fale. Energia twej ręki, udzielona za pośrednictwem kamienia cząsteczkom wody, przejawiała się w postaci fal. W podobny sposób powstają w powietrzu fale głosowe. Według przypuszczeń uczonych wszechświat jest przeniknięty niesłychanie subtelną i elastyczną materją t. zw. eterem.

Eter, dzięki swej niezwyklej elastyczności, sprężystości, daje fale, rozprzestrzeniające się z ogromną szybkością (300.000 klm. na sekundę), milion razy większą od szybkości fal głosowych (300 m. na sek.).

Fale elektromagnetyczne powstają w przestrzeni eteru wskutek wyładowań elektrycznych.

Istnienie fal elektromagnetycznych przewidywał w swej teorii „o promieniach elektromagnetycznych światła“ w 1867 r. uczony angielski J. C. Maxwell, w 1886 — 88 r. uczony niemiecki H. Hertz udowodnił doświadczalnie, przy pomocy wynalezionych przez się aparatów, słuszność teorii Maxwella, oraz wyjaśnił teoretycznie i praktycznie wszelkie kwestje o rozchodzeniu się fal elektromagnetycznych w eterze kosmicznym.

Hertz, mianowicie, zauważył, że przy ładowaniu kondensatora płaskiego (dwie okładki metalowe, przedzielone izolatorem, jak np. szkło, powietrze) wytwarza się oscylacja, która jest tem wydatniejsza, im bardziej rozchylamy pod pewnym kątem okładki kondensatora. Najbardziej wydatnie promieniuje, t. zw. otwarty oscylator Hertza (fig. 1), w którym okładki kondensatora (A) zostały ustawione prostopadle względem siebie (pod kątem 180°) i zakończone iskiernikami.

Niezwykle ważnem dla radjotelegrafji jest zjawisko rezonansu elektrycznego, wykryte w 1890 r. przez angielskiego uczonego O. Lodge'a. Polega ono

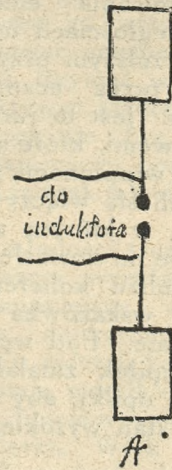


Fig. 1

na tem, że dwa obwody elektryczne, zdolne do promieniowania (oscylacji), będą oddziaływały na siebie, jeżeli będą „nastrojone“ na jednakową ilość drgań.

Jeżeli jeden z tych układów będzie bodźczy, przez włączenie doń źródła prądu (induktora), to może wymusić w drugim drgania oscylacyjne (fig. 2)

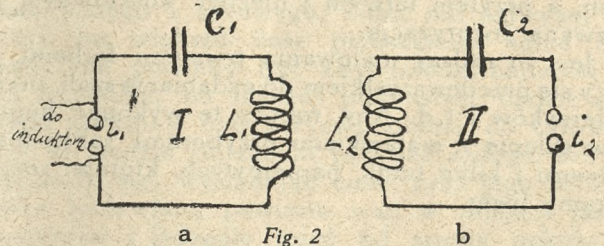


Fig. 2

Lodge i Hertz kusili się o wynalezienie takiego przyrządu, któryby wykrywał fale elektromagnetyczne, wysyłane przez oscylator otwarty. W tym celu używali oni drutu, zgiętego w koło i zaopatrzonego iskiernikiem. Gdy się dobierze odpowiednio wymiary drutu, wówczas między kuleczkami iskiernika skaczą iskry, ile razy oscylator promieniuje (fig. 3).

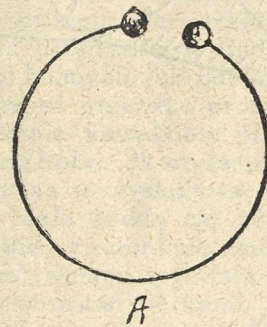


Fig. 3

Jest to najprostszy i najpierwotniejszy typ radioodbiornika, (zwany przez wynalazców rezonatorem) nie pozwalający jeszcze na porozumiewanie się.

Ani Lodge, ani Hertz nie wymyślili tak czułego rezonatora elektrycznego, któryby pozwalał na

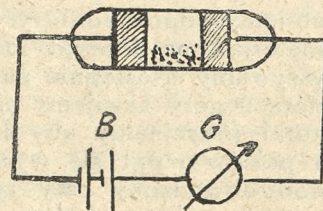


Fig. 4

wykrywanie promieniowania elektromagnetycznego w znaczniejszych odległościach od oscylatora (stacji nadawczej). O wiele czulszym przyrządem jest wynaleziony w 1890 r. przez uczonego francuskiego E. Branly'ego, koherer. Jest to rurka szklana, wypełniona opiłkami metalowymi, które się mieszczą między dwoma elektrodami, wtopionymi na końcach rurki. Branly odkrył, że jeżeli się włączy ten przyrząd w obwód baterji B (fig. 4), w którym znajduje się galwanometr G, to wykazuje on normalnie tylko słaby prąd. Jeżeli jednakże w pobliżu koherera wyskoczy iskra elektryczna, wówczas wskazówka galwanometra wykaże znaczne odchylenie. Pod wpływem fal elektromagnetycznych opór opiłek zmalał znacznie. Wystarczy jednak wstrząsnąć opiłki, aby prąd znów zmalał, co oznacza powrotny stan wysokiego oporu koherera.

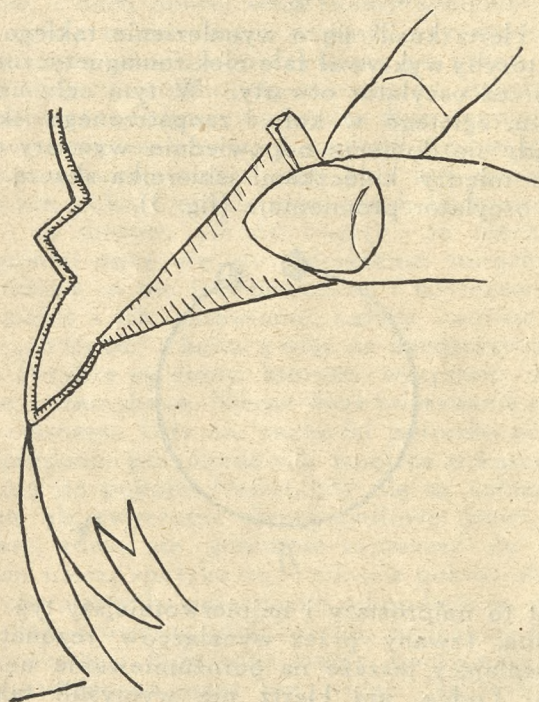
(d. c. n.)

Br. L. Życki.

## LIWORYZACJA

Jednym z najmodniejszych sposobów ozdabiania tkanin, a przytem łatwym i niezbyt kosztownym jest tak zwana liworyzacja.

Jest to rodzaj malowania trwałymi farbami, nadający się przedewszystkiem do ozdabiania szali, sukien, kołnierzyków i t.d. Aby robotę tę wykonać, kupujemy w sklepie z malarskimi przyborami tubkę białego liworu i kilka tutek papierowych, któremi rozprowadzamy liwor.



rys. 1.

Gdy przygotowujemy odpowiedni rysunek, podkładamy go pod materiał, na którym mamy malować i lekko go przyszywamy. Następnie napuszczamy liworu do tutki, którą u góry zawijamy aż do poziomu liworu, koniec tutki przycinamy aby liwor pod naciskiem naszych palców mógł się wysuwać. (rys 1).

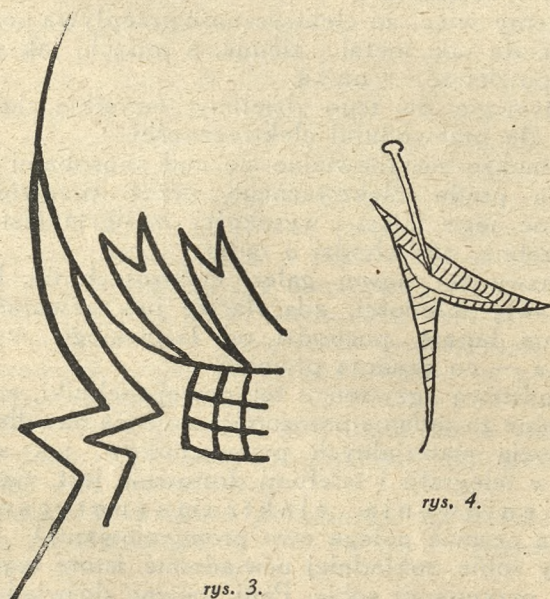
W ten sposób obwiedzimy cały rysunek konturem. Posypujemy go proszkiem złotym, srebrnym, ko-



rys. 2.

lorowym, bronzem, dżetami, paljetami i t. d. (rys 2). Strzepujemy nadmiar proszku, i zostaje nam kontur, odpowiednim bronzem posypyany. (rys 3)

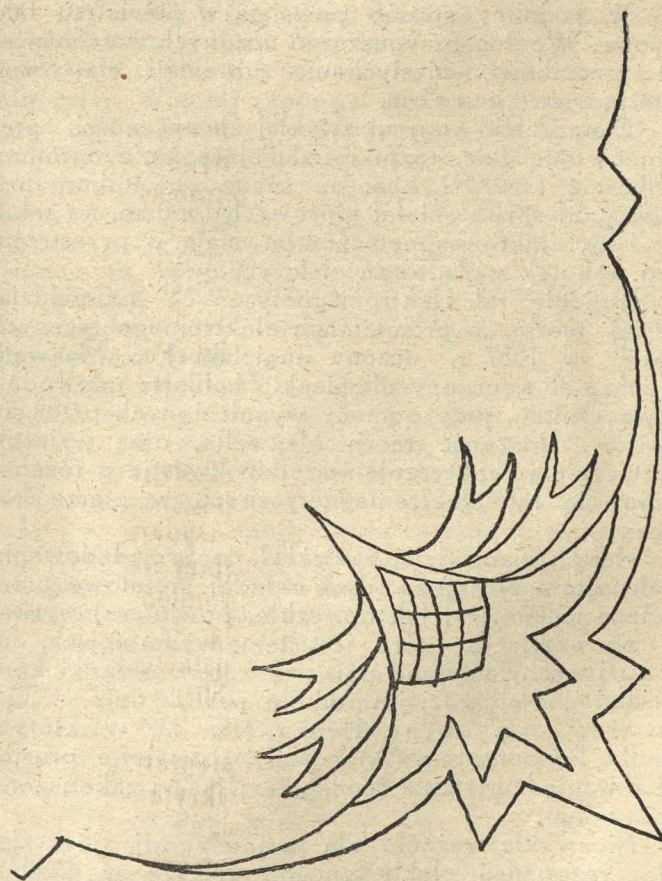
Aby otrzymać całą płaszczyznę poliworowaną,



rys. 3.

rys. 4.

należy liwor rozprowadzić szpilką, umaczną w wodzie. (rys 4) Brzeg poliworowany nie siepie się i, po wycięciu według wzoru, daje naturalne zakończenie.



Deseń na narożnik chusteczki.

Liworowane materje powinnyśmy przy ciepłym piecu suszyć, aż do zupełnego stwardnienia. Wtedy dopiero można wycinać.

Gdy liwor wyschnie, miejsca, oznaczone konturem, wypełniamy farbami do prania profesora Buszka.

Musimy bardzo uważać, aby barwniki rozkładać równo. Gdy będziemy malować jakąś jasną sukienkę, lub chusteczki, wtedy użyjemy farb prof. Buszka przezroczystych. Malując materiał, musimy go trzymać w powietrzu.

Do malowania zaś ciemnych szali, lub pasków skórzanych, użyjemy farb tego samego wyrobu, tylko kryjących, aby nie uległy zmianie na ciemnej barwie materji. Płaszczyny do malowania powinny być o ile możności małe, gdyż farba bardzo szybko schnie i nie pozwala równo się rozkładać.

Do wełnianych, lub poobiednich sukienek prawdziwą ozdobą są kołnierzyki, mankiety oraz paski skórzane liworowane. Na bale pantofelki płócienne, liworowane odpowiednimi bronzami, lub dżetami, nie ustępują ani wyglądem, ani trwałością pantofelkom z lamy. Materje liworowane można pracować bez żadnej szkody w ciepłej wodzie i prasować na mokro po lewej stronie.

Zofja Niemyska.

## JAK WYCHOWYWAĆ KANARKI

Chcąc wychować wzorowych śpiewaków, trzeba przede wszystkim chronić ich od przeciągów, tak dla nich szkodliwych, że z najpiękniej śpiewającego ptaka zrobić mogą wstrętne krzykacza o ochrypłym głosie. Dobrze jest wieszak kanarka przy oknie, naturalnie zamkniętem, strzegąc go od zbyt ostrych promieni słońca. Jeżeli klateczka jest mała, trzeba codzień wypuszczać ptaka, lecz nie na pokój, gdzie łatwo o wypadek, — ale na zaciągnięte storą od pokoju okno, gdzie zawieszona doniczka z muchotrzewiem przyczyni mu dużo radości i będzie wkrótce jego najmilszym spacerem. Kanarka trzeba oswoić głosem pieśniczotliwym, podawaniem mu z ręki ulubionych, a dozwolonych dla niego łakoci. Wkrótce można przyzwyczaić go tak do siebie, że nie tylko na wołanie przyfrunie, ale usiądzie na ramieniu z największym zafaniem.

Czysto utrzymywana klatka i grządki, często zmieniany piasek nie dopuszczają do zanieczyszczenia nóżek ptaszka. Jeśli, pomimo to, nóżki obrosną grubą łuską, trzeba je obmyć letnią wodą, obsuszyć delikatnie miękkim gałgankiem, posmarować ciepłą oliwą. Pazurki, jeżeli za długie, trzeba ostrożnie przyciąć ostremi nożyczkami, trzymając łapkę pod światło, aby widzieć żyłki i nie uszkodzić ich. Podczas śpiewania nie można chwycić ptaszka, ani przeszkadzać mu, jeżeli jednak zaniedbuje się w śpiewie, trzeba zbadać przyczynę tego, wziąć go delikatnie w rękę, rozdmuchać piórka na piersiach, jeżeli obrosnięte żółtym tłuszczem, odchudzić go, jeśli kość wystaje, za chudy — i jeden i drugi wypadek dowodzi choroby; w pierwszym — przez pewien czas dawać ptaszce sam rżepak, owies, trochę sałatki i jabłuszko, — w drugim — dodać jajka siekanego i tłustych nasionek, podając mu pokarm wieczorem.

Pierzenie jest naturalną coroczną zmianą piórek, przypadającą między lipcem a październikiem; im

wcześniej, tem zdrowiej dla ptaszka, a choć nie jest ono chorobą, osłabia go i czyni skłonny do wszelkich chorób. Trzeba go wtedy otoczyć szczególną pieczołowitością, dawać posilne pożywienie, przestrzegać czystości klatki, trzymać w wyższej temperaturze, a na noc ciepło okrywać klatkę. Najważniejszą tu jest kąpiel, a jeśli ptaszek nie chce się kąpać, skrapia się go rozpylaczem. Najczęściej podczas pierzenia ptaszki milkną, niektóre są jednak tak silne, że i w tej porze nie przestają śpiewać.

W pierwszej młodości trudno jest bardzo poznać płęć kanarka, czasami wyraźniej występuje różnica: samczyk jest wysmuklejszy, na wyższych nóżkach, samiczka mniejsza, delikatniejsza, zabarwienie ma bledsze, zwłaszcza u żółtych kanarków. Skoro ptaszki zaczną śpiewać, ustają wszelkie w tym kierunku wątpliwości, samczyk bowiem śpiewa, wyciągając trele, samiczka tylko ćwierka. Wiek kanarków poznaje się po grubych łuskach na łapkach, po dłuższych pazurkach i dziobku, którego wierzchnia część wyrasta dłużej, jak spodnia.

Amatorowie, chcący hodować kanarki i wychować młode, powinni postarać się o silne ptaszki i zacząć hodowlę od pary, — ma ona tę wyższość, że samiec nie ustaje śpiewać i jest dla młodych nauczycielem. Prowadząc hodowlę wzmożoną, trzeba wybrać samca silnego i zdrowego, i dać mu najwyżej 3 samiczki, bo większa ilość przeszkadza sobie tylko. Ptaszki nie powinny być zbyt młode, najlepiej dwu albo trzyletnie, bo inaczej potomstwo będzie słabe. Ptaszki powinny być przyzwyczajone do człowieka, który je będzie obrządzał podczas wylęgu, żeby nie niepokoiły się, wysiadując małe, przy jego zbliżeniu. Klatka hodowlana powinna stać w miejscu jasnym, a gniazdka i jedzenie mieć od strony pokoju. Do klatki wpuszcza się najprzód samca, aby się oswoił i przyzwyczaił do nowego mieszkania; następnie samiczki, koniecznie wszystkie odrazu, bo inaczej później przybyłe bite i dziobane są przez poprzednie.

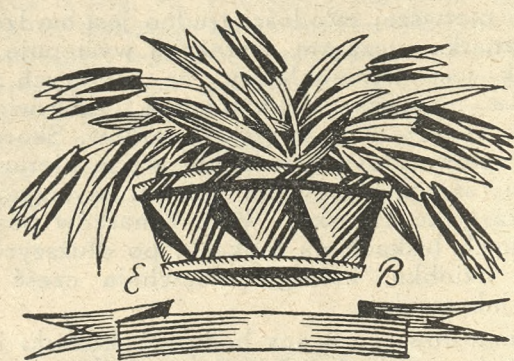
Charakterystycznym jest, że ptaszek, wybrawszy jedną z samiczek za żonę, na inne nie zwraca uwagi, dopóki ona nie zacznie składać jajeczek; wtedy poznaje się z innymi, ale pomaga wysiadywać, karmić i chować tylko pisklęta pierwszej żony, pozostawiając resztę własnemu przemysłowi. Podesłać najlepiej jest ptaszkom szarpi lnianych, lub poskubanej białej wełny, na spodzie wysypać gniazdko proszkiem od robactwa i obetkać szczelnie kawałkiem płótna, żeby ptaszek nie roznosił podściółki. Skoro samiczka zniesie 2, lub 3 jajeczka, zaczyna je wysiadywać. Czas wylęgu trwa 13 do 15 dni. Małe rodzą się zupełnie gołe, odpychają brzydkie z zamkniętymi, wysadzonemi na wierzchu oczkami; wciągu tygodnia oczki im się otwierają i zaczynają porastać piórkami. Wprawny hodowca w tej porze łatwo poznaje samczyka po złotym pasku, idącym wzdłuż krzyża.

Małżeństwo kanarcze karmi wspólnie z dzióbka potomstwo, matka ogrzewa je do 10 dni, później tylko w nocy. Po 16 dniach, a czasami później, ptaszki, obrosnięte złotym puszkami, wychodzą z gniazdka na grządki; w tej porze są najpiękniejsze i ślicznym wyglądem wynagradzają trudy, podjęte około ich wychowania. Po opuszczeniu gniazdka przez małe, trzeba go wyczyścić i zdezynfekować, wybrać i spalić posłanie, a usłać nowe. Dobra samiczka wkrótce znów nieść się zaczyna. Zniecierpliwiony ciąglem niesieniem się samiec, z czysto męskim egoizmem, za trzecim wysiadaniem tłucze po jednym jajeczku i wy-

rzuca je z gniazdka, uniemożliwiając tem samym swojej towarzysze dalsze oddawanie się wychowaniu potomstwa. Z chytrą przebiegłością zastępuje ją niby podczas jedzenia w gniazdku, aby codziennie po jednym zniszczyć wszystkie jajeczka. Po kilku dniach takiej czulej opieki, gniazdko pozostaje puste, a biedna matka, zmuszona wyrzec się swoich nadziei, podaje się woli ptasiego małżonka.

(d. c. n.)

J. S.



## MASŁO „ŚMIETANKOWE“ I INNE TŁUSZCZE

Kiedy w warszawskich dziennikach codziennie spotykam ogłoszenia o domowych obiadach z trzech dań na „śmietankowem“ masle w cenie 1 zł. 50 gr. za obiad, — dziwię się zawsze temu, że są tacy naiwni, którzy się dadzą brać na lep takich ogłoszeń, — a widocznie jest ich nawet wielu, gdyż takie ogłoszenia stają się coraz częstsze. Ze strony osób, wydających takie obiady, ogłoszenia takie nie zawsze są nieuczciwością, niektóre z nich rzeczywiście przyrządzają potrawy na masle, nawet śmietankowem, lecz zawsze nieświeżem i lichego gatunku.

Rezultatem takiej kuchni są katarы żołądka, równie częste, jak przy spożywaniu rozmaitych kombinowanych tłuszczów niewiadomego składu, w które tak obficie zaopatruje nas Gdańsk, a właściwie Niemcy via Gdańsk.

Każda doświadczona gospodyni wie doskonale, że masło śmietankowe, jako bardzo świeże i niezbyt tłuste, nie nadaje się nawet do smażenia mięsa, nie mówiąc już o rybach, kartoflach, i daniach mącznych, które się na niem wcale nie rumienia, a łatwo natomiast przypalają. Ciasto francuskie nie rośnie i nie staje się słoiste, ciasto kruche pozostaje po upieczeniu ciężkiem. Do potraw należy używać tylko masła tłustego, lekko solonego i nie wcześniej, niż we dwa tygodnie po jego ubiciu. Masło takie, najlepszego gatunku, doskonale oczyszczone z cząstek mlecznych i wyprasowane z wody, jest idealnym tłuszczem kuchennym, niestety bardzo trudnym do nabycia. Masło topione, oczyszczone przez klarowanie z cząstek mlecznych, i dobrze zakonserwowane jest też produktem dobrym i zdrowym. Masło śmietankowe świeże jest wyborne do jarzyn, których, niestety, jadałyśmy zbyt mało, i do niektórych legumin w postaci maślanego kremu, tak używanego do ciastek i tortów. Masło każde nieświeże, a szczególnie śmietankowe, bez soli, a zatem gorzkniejące niesłychanie szybko, jest prawdziwą tru-

cizną dla żołądka. Poprawianie jego smaku zapomocą przemywania w roztworze sody, zaprawiania kwasem salicylowym i innymi specyfikami, nie zmienia postaci rzeczy, użycie takiego masła do potraw pozostaje szkodliwym.

Każda gospodyni, prowadząca porządnie rachunki, wie dobrze, że nietylko w tanich jadłodajniach, lecz nawet w dobrej kuchni domowej, wydatek na dobre masło stanowi tak poważną pozycję, że wprost czasem trzeba unikać dań smażonych, jako zużywających duże ilości masła, (ryby, racuchy, sznyce, paszteciki w drożdżowym cieście, i t. p.).

Otóż powinniśmy się wyzbyc przesądu, że wszelkie inne tłuszcze roślinne i zwierzęce, oprócz masła jednego, są niestrawne, i, pozostawiając masło jedno do użytku chorych już na żołądek, którym kuchnia dietetyczna użycie masła wyłącznie przepisuje, — dla zdrowych stosować równolegle z niem inne świeże tłuszcze. Powinny one być zupełnie świeże i wiadomego składu i pochodzenia.

Z tłuszczów roślinnych w pierwszym rzędzie masło kokosowe i oliwa. Jedno i drugie łatwo strawne i niezastąpione przy smażeniu ryb, gdyż jedno i drugie niełatwo przypala, co niestety przy smażeniu na maśle panierowanych w mące, lub bułeczce ryb, zawsze prawie ma miejsce.

Oba te tłuszcze należy używać w stanie czystym.

Masło kokosowe powinno być zupełnie białe i twarde, wszelkie mieszaniny różnej nazwy, dające mu wygląd masła, są mniej wartościowe. Oliwę należy brać francuską, gdyż jest najlepiej oczyszczona, a przez to najbardziej wydajna, — włoska, bledsza w kolorze i mniej dobrze oczyszczona, nadaje się raczej do majonezowych sosów i marynowania ryb i śledzi, niż do smażenia.

Niestety, wysokie cło i poprawa kursu francuskiego franka czynią ten tłuszcz mało dostępnym szerokim masom ludności. Oliwę często fałszują olejem orzechowym, białym, czystym i dosyć smacznym, jednak dla delikatniejszych żołądków mniej strawnym. Z tłuszczów zwierzęcych największym powodzeniem cieszy się w Polsce smalec. O ile bardzo świeży, — najlepiej w domu z sadła wytopiony, — jest tłuszczem zdrowym, bardzo w użyciu wydatnym, ma jednak dużą wadę: przykry zapach, którego udziela daniom mięsnym, na nim przyrządzonym, i który uporczywie pozostaje w pokoju, gdzie takie dania spożywano. Jest to ten charakterystyczny odór taniej jadłodajni, odbierający apetyt, zanim jeść zaczęliśmy.

Wobec jednak względnej taniości i wielkiej wydajności tego tłuszczu możemy go używać do smażenia kartofli i duszenia różnych mięs, dla zneutralizowania zapachu dodając do niego cebuli.

Do smażenia pączków, faworków, racuchów i paszetów niczem nie dający się zastąpić. Zapach jego w cieście mniej razi, zresztą usuwamy go prawie zupełnie zapomocą araku, czy rumu i cytryny, użytych do lukru przy pączkach, i cukru, mocno aromatyzowanego wanilią, przy innych ciastach. Kieliszek spirytusu, wlany do rozpalonego szmalcu, zabija też częściowo jego odór, — należy operację dolewania uskutecznić zdala od ognia, aby się spirytus nie zapalił i nie poparzył osoby gotującej. Lepszą od szmalcu jest świeżo przetopiona słonina, nawet przed wojną w niektórych okolicach kraju, jak na przykład na Wołyniu i na Ukrainie, używana przez kucharzy w najwykwintniejszych kuchniach. U nas przeważnie używa się słoniny wraz ze skwarkami, jako okrasę do kasz,

klusek, zup`bezmieśnych, dla służby i t. p. Otoż odtopiona dobrze świeża słonina, po odcedzeniu skwarek, może wybornie zastąpić masło przy duszeniu i pieczeniu wszelkich mięs, drobiu, zwierzyny. Smak ma delikatny, nie pozostawia żadnego zapachu i jest zupełnie strawna. Pozostałam na sam koniec tłuszcz, uznany w całej Europie za najlepszy, a u nas najnieśluszniej pogardzany — fryturę. Nie mówię o tej gotowej fryturze, sprzedawanej u rzeźników, a wytapianej z tłuszczu, otaczającego kiszki, lub w sklepikach, wyrabianej przez kucharzy w restauracjach z pozłoty, zbieranej z rosółów i potem potajemnie zbywanej na użytek tanich garkuchni. Dobra frytura wołowa wytapia się z czystego łoju nerkowego w sposób następujący. Łój, oczyszczony z plew i żył i pokrajany w drobną kostkę, należy włożyć w rondel żelazny emaljowany, włożyć weń parę ziarn pieprzu, ziela i parę listków, zalać zimną wodą, aby objęła, i postawić na ogniu. Mieszać często, aby nie przystało. Gotować wolno, aż się woda cała wygotuje, poczem jeszcze wolniej wytapiać, odlewając łyżką tłuszcz przez sito do kamiennego garnka, aż pozostaną suche skwarki, które można korzystnie użyć przy duszeniu bigosu, lub kapusty na jarzynę. Jeszcze smaczniejszą jest frytura z łoju cielęcogo, — u nas, niestety, niema cieląt tłustych i dużych. W Rosji, gdzie specjalnie wypajano cielęta do ogromnej wagi, (ćwiartka ważyła przeszło pud (16 kilo) kiedy u nas dobra ćwiartka około 7 kilo zaledwie waży) taka frytura specjalnie przez kucharzy była używana do ciast cukierniczych, jako przewyższająca w smaku masło, zresztą była przeważnie od niego droższą. Frytura ma tę właściwość, że znakomicie rumienia ciasto i mięsiwa, zupełnie prawie do nich nie wsiąka, nie przetłuszcza ich. Można na niej smażyć i dusić wszelkie mięsiwa, drób, zwierzynę, ciasto i kartofle.

Tylko na niej można wykonać francuskie kartofelki „pommes soufflés“, i „pailles“. Wszelkie drożdżowe paszteciki tylko na niej mają ładny wygląd. Wszelkie sznyce i ryby cudnie się na niej rumienia, nie przypalając. Nawet najlepsze befsztyki na niej można usmażyć, gdyż można je zrumienić do czarnego koloru, nie przypalając ich jednak, — po usmażeniu fryturę odlać, a położyć na patelnię kawałtka masła i po przesmażeniu z niem już podać befsztyk.

W ogólności fryturę po użyciu należy pozostawić na patelni, lub w rondlu, i o ile tłuszcz do potrawy niezbędny, dodać do niej trochę masła, gdyż przy masie innych zalet, frytura ma tę wadę, że łatwo krzepnie. Toteż nie zalecam jej nigdy do sosów, — do nich zawsze należy używać masła, — niedużo, ale dobrego.

Masło też bezpodzielnie powinno służyć do zaprawy jarzyn, szczególnie podawanych po francusku, to jest bez mąki, cukru i innych domieszek z jednym masłem tylko.

Urozmaicając rodzaje tłuszczu, używane w kuchni, osiągniemy olbrzymią oszczędność, nic nie psując jej smaku i bez żadnej szkody dla zdrowia, — wyzbijamy się tylko przesądów.

Pani Elżbieta.



### PIECZEŃ CIEŁĘCA PO AMATORSKU

Wiosną, kiedy cielęcina staje się codziennem niemal daniem, specjalnie chodzi o urozmaicenie przyrządzenia tego zdrowego i smacznego, lecz nieco mdłego mięsa. Dyszek cielęcy, po odrabaniu kolana, które idzie na smak do zupy, i forszlaku, który wraz z nerką stanowi samodzielne pieczyste, (mówię to o dużej ćwiartce, gdyż cielęcina ze zbyt małej sztuki jest zawsze bez smaku,) sparzyć wrzątkiem na chwilę, wrzątek odlać, a cielęcinę polać gorącym octem, przygotowanym z cebulą, korzeniami i garścią majeranku. Niech tak postoi dobę. Wyjąć pieczeń z octu, gęsto naszpikować wędzoną słoniną, lub tłustym boczkiem.

Rondel wyłożyć słoniną wędzoną, krajaną w cienkie plastry, położyć na to poszatkowanej marchwi i pietruszki, położyć pieczeń, osolić dopiero teraz, zrumienić ze wszystkich stron, poczem dusić na wolnym ogniu, podlewając octem, w którym się marynowała. Gdy już miękka, podać kwaterką kwaśnej śmietany i zagotować raz jeszcze. Pieczeń wyjąć, pokrajać w plastry, uważając, jak zawsze, aby krajać wpoprzek włókien. Sos, który powinien być bardzo obfity, zaprawić łyżką mąki, przefasować przez sito, częścią polać pieczeń, resztę podać w sosjerce. Do takiej pieczeni oprócz kartofli z wody, lub purée kartoflanego, można podać każdą sałatę zieloną, kapustę czerwoną, kapustę kwaszoną, zaprawioną cukrem i oliwą, a nawet borówki, lub kompot. Osoby, nieznoszące cielęciny, tak przyprawioną jedzą chętnie, gdyż jest zupełnie odrębną w smaku.

### MAKARON PO WŁOSKU

Jest to jeden z setek sposobów przyrządzenia makaronu po włosku, łatwy do wykonania i smaczny. Na osiem osób ugotować całe kilo makaronu włoskiego, nie przegotowując go nadto, (po ugryzieniu kawałka nie powinien chrupać pod zębami.) Wodę odlać i natychmiast włożyć do rondla łyżkę masła, przetrząść w rondlu, aby makaron się nie posklejał razem. Pół kilo cebuli konieczne łagodnego smaku, hiszpańskiej, pokrajać w talarki i udusić w dużej łyżce masła do koloru bladego złota. Nakoniec z łyżki masła, łyżki mąki, półkilowego pudełka konserwy pomidorowej i paru szklanek rosółu, lub chociaż smaku z jarzyn, zrobić zawiesisty sos, osolić, popierzyć lekko,

**Dr. J. ŚWITALSKA**

PRZYJMUJE CODZIENNIE OD GODZ. 5-ej DO 7-ej.  
KRUCZA 31, MIESZK. 3.

KOSMETYKA LECZNICZA, CHOROBY SKÓRNE I PŁCIOWE, ŚWIATŁOLECZNICTWO.

zmieszać z usmażoną cebulą, zalać tem na półmisku makaron i podawać natychmiast. Sos powinien być gotów niedługo po ugotowaniu makaronu, gdyż przestały makaron smak traci, mięknać nadto.

Włosi do tego sosu wkładają kopę małych ostryg, lub „moule'ów“, rzecz dla nas niedostępna, niestety. Radzono mi zastąpić je sardynkami, lub marynatą z tona, — jednak i bez tych dodatków potrawa jest wyborna.

### ŚLEDZIE SMAŻONE W KLARZE

Śledzie mają właściwość rozpadania się przy smażeniu, aby tego uniknąć i podać je całe, należy na cztery śledzie, to jest osiem połówek, gdyż śledzie się smaży podzielone w całą długość, wziąć dwa jaja i trzy ćwierci szklanki mąki; żółtka utrzeć z mąką, rozprowadzić wodą do gęstości śmietany, dodać ubite na pianę białka. Śledzie, dobrze wymoczone, oczyścić z ości, nie naruszając skórki, główki i ogonki odrzucić, śledzie umaczać w tym klarze i smażyć natychmiast w bardzo obfitem maśle krowiem, lub kokosowem. Okłada się niemi purée z kartofli, groszek, marchewkę, brukselkę, szpinak, lub też podaje do nich sos pomidorowy.

### CIASTKA Z OWSIANEJ KASZY

Trzy duże, lub cztery mniejsze żółtka utrzeć do białości ze szklanką cukru, dodać pięć migdałów gorzkich, oczyszczonych i utłuczonych, filiżankę dobrego mleka, lub śmietanki i pół kilo płatków owsianych „Herkulo“, wymieszać doskonale. Białka ubić na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie z masą, rozsmarować na palec grubo na opłatku, położonym na posypanej mąką blasze i upiec w piecu do lekkiego zrumienienia. Po upieczeniu, zanim nie ostygnie, pokrajać ostrym nożem na zgrabne kawałki, na każdym położyć pasek smażonej skórki pomarańczowej. Dobrze udane ciastka te w smaku bardzo przypominają makaroniki migdałowe. Zamiast jednego placaka można z tej masy upiec małe ciastka, kładąc je łyżką na opłatek. W takim razie paski skórki pomarańczowej kładzie się na ciastko przed upieczeniem.

Pani Elżbieta

## KĄCIK GOSPODARSKI

IV.

### JAK NALEŻY PRAĆ RADIONEM.

Dalszy ciąg z Nr. 8 z dnia 19 II. 1927 r.

#### PRANIE BIELIZNY KOLOROWEJ.

Zasadniczo bieliznę kolorową należy przechowywać oddzielnie, gdyż przy przechowywaniu razem z bielizną białą drobne kolorowe włókienka przedostają się na bieliznę białą i są często powodem powstawania plam.

Bieliznę kolorową, nieblaknącą, pierze się w Radionie tak samo, jak białą.

Jeżeli bielizna kolorowa jest blaknąca, o czym się łatwo przekonać przez zwykłą próbę, to trzeba ją najpierw namoczyć, a potem prać 20—30 minut w ciepłym roztworze RADIONU. Bardziej zabrudzone miejsca przepiera się ręкома, przy jednoczesnym kilkakrotnym zanurzeniu do roztworu. Przy płótkaniu trzeba dodać do wody kilka łyżek octu, dzięki czemu kolory się odświeżają.

Dalszy ciąg nastąpi. Wyciąć i zachować.

## CO CUDZOZIEMCY WYWOŻĄ Z POLSKI

Na wszystkich przejściach granicznych na zachód, południe czy wschód, stwierdzają nasi celnicy, że wśród przedmiotów wyrobu krajowego, wywożonych z Polski przez cudzoziemców, zawsze znajdują się znaczniejsze zapasy artykułów toaletowych. Przewszystkiem uderza, że najczęściej spotyka się wyroby Henryk Żak, fabryki perfum, mydeł i kosmetyków, i to: mydła Miaflor, Loran, Fleurs de Stamboul, perfumy Halka i Loran, wodę kolońską Przemysławka. Nazwy te powtarzają się codziennie, po kilkaset razy, w rewidowanych na granicy walizkach podróżujących. Fakt ten stanowi cenną wskazówkę dla konsumentów krajowych, tak chętnie wzorujących się na zagranicy, ale w tym wypadku wyjątkowo wzór cudzoziemców nikogo nie przyprawi o zawód, ani o niemiły zarzut hołdowania cudzoziemszczyźnie, kosztem swojszczyzny.

### KSIĄŻKA

p. t.

#### „100 Postnych i Jarskich Dań”

podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy postnych i jarskich potraw.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

### KSIĄŻKA

p. t.

#### „KUCHNIA DZIECIĘCA”

podaje potrzebne dla każdej matki sposoby racjonalnego i zdrowego odżywiania dziecka.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18